

19. Laurent, 46 lat *„Chodź ze mną do biura”*

Dołączyłem do Grupy Saint Luc w wieku dziewięciu lat w 1978 roku. Od końca roku 1979 aż do 1982 doświadczyłem bardzo szczególnych „względów” księdza.

Podczas sobotnich popołudniowych zbiórek, systematycznie prosił mnie, żebym przyszedł do jego biura. Grzecznie za nim szedłem i, w salce ze strojami znajdującej się na ostatnim piętrze kościoła, obejmował mnie, przyciskał do siebie i zaczynał mnie głaskać. Brał moją dłoń i kierował ją ku swojej twarzy i swemu kroczu. Czasem się schylał, żebym go pocałował.

Mam niezatarte wspomnienie tego okropnego zapachu zimnego cygara i jego niezdrowego oddechu, gdy przyciskał mnie do swego brzucha.

Pamiętam też, że pieścił mi członek podczas podróży autokarem na obozie na Korsyce w 1982 roku. Siedziałem na jego kolanach na siedzeniu za kierowcą, niby z dala od spojrzeń, ale nadal wśród ludzi.

Byłem bardzo skrępowany... ale co powiedzieć.

Właśnie - co powiedzieć? I jak to powiedzieć? Komu? Te pytania długo mnie prześladowały...

Te wahania dobrze ilustrują, jak to powiedział Jérôme, całą dwuznaczność naszych relacji z księdzem.

Ale nie można zapominać, że w tamtych czasach był on dla nas absolutnym autorytetem - osobą dorosłą, drużynowym i księdzem, - więc dziecko, którym byłem, mówiło sobie: „Ostatecznie, czyż nie mam szczęścia, że jestem jego pupilem?”. Nawet jeśli gdzieś w mojej głowie jakiś wyłącznik przełączał się na OFF... Tak właśnie udawało nam się przekonać samych siebie, że to jest normalne, że on nas bardzo lubi (albo nawet bardziej niż

innych...). I życie toczyło się dalej. Powiedziałem o tym matce w 1990 roku, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Nie chciała mnie słuchać i poprosiła, bym zamilknął. Zrobiłem, jak kazała... Zmarnowana okazja na wyzwolenie - uchyliłem drzwi, które, ku memu osłupieniu, od razu się zatrzasnęły się na nowo, tym razem jeszcze bardziej hermetycznie.

Jeśli moja własna mama nie chciała mnie słuchać (i uwierzyć, kto wie?), to kto by zechciał? Więc żyłem dalej, mówiąc sobie, że nic się nie stało. Musiało minąć jeszcze czternaście lat, bym zaczął szukać pomocy „na zewnątrz” i wreszcie się uwolnić... Ojciec nigdy nie raczył podjąć tego tematu, tylko raz rzucił: „Laurent był dorosły, gdy o tym powiedział”... Porażające.

Jestem poróżniony z moją rodziną od dwunastu lat z powodów, które wywodzą się z tej obojętności. Moim rodzicom zawsze udawało się uchodzić za bardzo dobrych ludzi, mieszczan, praktykujących katolików (czyli chodzących na mszę w niedzielę, ni mniej, ni więcej) i bardzo dla wszystkich uprzejmych. W rezultacie, wszyscy (bliscy, przyjaciele i rodzina) odwrócili się ode mnie, niedowierzając - stałem się nagle „facetem z problemami”, niewdzięcznikiem!

Nic więc dziwnego, że ksiądz mógł czynić te nadużycia przez tak długi czas, chroniony pośrednio przez tych, którzy wówczas mogli zareagować. Jak i przez tych wszystkich, którzy dziś jeszcze mówią nam, że nie było penetracji, więc to nic takiego poważnego. Osłupiałem ze zdumienia, gdy dowiedziałem się, że ksiądz przyznał się do wszystkiego, i że nic to nie zmieniło... Czyż również Kościół nie chronił go, woląc odsunąć problem niż zmierzyć się ze skandalem?

Wydaje mi się, że Kościół nie może dziś powiedzieć, że nic nie wiedział...

W związku z tą sprawą, 24 czerwca 2011 roku o jedenastej, zostałem przyjęty przez biskupa pomocniczego Jego Ekscelencję Thierry'ego Brac de la Perrière. Podczas tej audiencji chciał mnie uspokoić, twierdząc, że „mają Preynata na oku”, i że „nie ma już kontaktu z dziećmi”...

Daleki jestem od chęci jakiegokolwiek zemsty czy porachunków, ale jako ofiara od 1979 roku, mam dziś potrzebę i pragnienie, by sprawiedliwości stało się zadość.

Dzięki François i wszystkim innym, ofiarom czy nie, dana mi została wspaniała możliwość dorzucenia mojej cegiełki.

I tym razem nikt nie nakaze mi milczenia...

18. Thony, 36 lat

„Preynat, zniszczyłeś MOJE ŻYCIE”

Panie Preynat,

przedstawię się: nazywam się Thony i byłem członkiem drużyny zuchowej w Saint Luc w latach 1987-1990 (między moim siódmym a dziesiątym rokiem życia). Dziś wiem, dzięki przepracowaniu tego z moim psychologiem, że jestem jednym z tych nieszczęsnych dzieci, które naznaczył Pan traumą przez swoje perwersyjne i niszczycielskie zachowania. Mojemu psychologowi udało się wydobyć te okropne wspomnienia, zakopane przez moją podświadomość w najgłębszych zakamarkach pamięci przez dwadzieścia sześć lat. I to przez zablokowanie tej traumy przez te wszystkie lata, moje życie stało się CIERPIENIEM, które Panu opiszę.

Od czasu mojego odejścia z drużyny Saint Luc i pójścia do gimnazjum, czułem się bardzo dziwnie i odczuwałem na początku chorobliwą nieśmiałość i skrępowanie wobec dziewcząt oraz obawę przed tłumem.

Były to sytuacje, które naturalnie zrzucałem wówczas na karb dojrzewania. Tylko że to skrępowanie nigdy mnie nie opuściło i nie było zgodne z moją ekspresywną i ekspansywną naturą. Z czasem przekształciło się to w skrajnie traumatyczne choroby, która zwą się epilepsją i spazmofilią¹.

Biorąc pod uwagę, że każdy przypadek epilepsji jest inny, pragnę przedstawić Panu mój przypadek:

- Moja epilepsja - zazwyczaj zdarza się to w nocy, po godzinie snu. Budzę się nagle, zlany potem o niecodziennym i BARDZO szczególnym zapachu, który sprawia, że myślę... który mi zapowiada ŚMIERĆ... tak, ŚMIERĆ... jak walka między mną a ŚMIERCIA. Jest to taka trauma, że mam ogromne trudności z zapanowaniem nad tym, bo bardzo szybko całe moje ciało ulega ogromnym wstrząsom miotającym mną na wszystkie strony! O ściany, meble i wszystko, co mnie otacza. W tych chwilach czuję ŚMIERĆ, która rzuca mną jak szmacianą lalką, by następnie mnie zabrać ze sobą... Co ostatecznie robi, gdy moje mięśnie napinają się, gdy serce przestaje bić... wtedy, bezsilny, czuję, że odchodzę z NIA... Wiele osób może dziś to poświadczyć - moi rodzice, przyjaciele, nauczyciel z liceum, który był tego świadkiem podczas wycieczki szkolnej. Do dziś udaje mi się podnosić fizycznie z tych traumatycznych ataków, ale na poziomie psychicznym, proszę mi wierzyć, nigdy nie będę umiał się do tego przyzwyczaić...

¹ Teżyczka, skłonność do drgawek i hiperwentylacji, nota tłumaczki.

Przez lata próbowałem ukrywać te ataki, tak bardzo się wstydziłem bycia prawdziwym warzywem, gównem, wyrzutkiem ludzkości. Bo doświadczenie działania wyższej siły, przejmującej kontrolę nad moim ciałem, by zadać mi tyle bólu i traumy, nie pozwoliło mi normalnie żyć. Dziś udaje mi się dostrzec związek między tą bezsilnością a uczuciem niemocy, kiedy mnie Pan dotykał. Co do ataków, często potrzeba mi było wielu tygodni, by się z nich otrząsnąć, będąc cały czas w obawie, że zdarzy się następny. Poza lekami przepisywanymi przez neurologa, brałem również lexomil² i xanax³, które młodego chłopca w świetnej formie szybko zamieniają w stare warzywo.

- Moja spazmofilia - od wielu lat, kiedy tylko jestem trochę zmęczony i muszę skoncentrować się na najprostszych czynnościach, jak przestawienie dwóch przedmiotów albo zastanowienie się nad jakimś konkretnym tematem, lub nawet wykonanie jakiegoś obliczenia... zaczynam mieć drgawki, co jest szczególnie dokuczliwe, oczywiście w kontekście pracy, czy to biurowej, czy manualnej. Zresztą mój ostatni egzamin oblałem właśnie dlatego oraz przez to moje chorobliwe skrępowanie. Radzenie sobie ze stresem staje się coraz bardziej skomplikowane.

To jest właśnie prezent, Panie Preynat, który mi Pan podarował przez Pańskie postępowanie. Nikomu bym tego nie życzył, nawet najgorszemu wrogowi...

Poza tą szczególnie brutalną traumą, której doznałem, i której skutków nadal doświadczam, owe problemy ze zdrowiem zrujnowały moją edukację, moje życie zawodowe i moje życie emocjonalne.

² Nazwa komercyjna związku chemicznego bromazepan, lek psychotropowy, nota tłumaczkii.

³ Nazwa komercyjna związku chemicznego alprazolam, lek psychotropowy, nota tłumaczkii.

Cierpię na depresję od ponad trzech lat i mam wielkie trudności z osiągnięciem stabilności, zarówno na poziomie zawodowym, jak i uczuciowym. Do dzisiaj nie udało mi się ustabilizować. Mam trzydzieści sześć lat, powinienem budować swoje życie i rozwijać się. Zamiast tego, z powodu cierpienia wywołanego przez te ataki, mam dziś wobec życia infantylną i nieodpowiedzialną postawę. A przyczyną tego jest zbyt ciężkie brzemie moich problemów zdrowotnych. Stałem się otyły i wpadłem w alkoholizm ze względu na te problemy.

Preynat, zniszczyłeś MOJE ŻYCIE

Za tym wszystkim kryje się żądza pokonania tego problemu, a przede wszystkim żądza życia!

Jestem nadal trochę zagubiony w mojej zdolności do walki, ale próbuję i chcę, by mi się udało!

Więc, Panie Preynat, niech Pan wie jedną rzecz - naznaczył mnie Pan na całe życie przez swoje obrzydliwe i haniebne zachowania! Nigdy tego Panu nie zapomnę...

17. Matthieu, 36 lat.

„Nie jestem już dzieckiem, które padło ofiarą tych nadużyć, ale dorosłym, który pokazuje je palcem i chce sprawić, by winny oraz ci, którzy go kryli, odpowiedzieli za swoje czyny.”

Minęło już kilka miesięcy, od kiedy po raz pierwszy odezwałem się do członków-założycieli stowarzyszenia „La Parole Libérée”. Bardzo mi pomogła uwaga, którą mi poświęcili i nasze rozmowy, które pozwoliły mi poczuć się wysłuchanym i zrozumianym. Czego moi bliscy, którzy wiedzą o tym, co mi się przydarzyło, nie mogą zrobić, mimo całej ich życzliwości i empatii... Dzięki krokom, które podjęło stowarzyszenie, znalazłem w sobie odwagę,

by złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez księdza Preynata, który wykorzystywał mnie od 1988 roku do mniej więcej 1991 roku. To zawiadomienie jest o tyle ważne, że fakty, których dotyczy, nie są a priori przedawnione. Na razie czekam, aż moja sprawa trafi na wokandę, żeby dowiedzieć się, jaki będzie jej dalszy ciąg.

Jednak muszę przyznać, że w pewnym momencie zwątpiłem w przydatność tego postępowania, które do dziś nie dało mi u poczucia uwolnienia się. Wychodząc ze spotkania z policjantem, który przyjął moje zeznanie, był moment, gdy zadałem sam sobie pytanie, czemu to miało służyć. Wiedziałem, że to mogło być użyteczne dla nagłośnienia i uniknięcia, na ile to możliwe, takich przypadków w przyszłości. Ale nie widziałem w tym żadnej korzyści dla mnie. Ze względu na długą i niepewną drogę, jaką narzuca ten typ kroków prawnych, uznałem to za dodatkowy ciężar, który brałem na barki. Nawet jeśli Preynat pójdzie do więzienia i zostanie srogo ukarany przez wymiar sprawiedliwości, nie zmieni to tego, co się stało i mam wrażenie, że nie przyniesie mi tak naprawdę ulgi. Jestem zresztą bardziej oburzony na hierarchów Kościoła i wszystkie osoby, które świadomie ignorowały te nadużycia. Mógłbym zapomnieć, a nawet w pewnej mierze „przebaczyć” księdzu Preynatowi, który jest najwidoczniej dotknięty patologią psychiatryczną, lecz osoby, które go kryły, są z założenia ludźmi zdrowymi na umyśle, jeśli można się tak wyrazić...

Jednakże, po zastanowieniu, zdaję sobie sprawę, że muszę teraz znaleźć sposób, by pokonać wstyd, poczucie winy, by wymazać doznane upokorzenie i zrozumieć, że byłem bezsilną ofiarą, że to nie ja mam czuć wstyd, winę, lecz ów ksiądz pedofil. Odważyć się być dumnym z tego, że udało mi się kroczyć dalej w życiu tak jak umiałem, mimo tej traumy. Być dumnym z odwagi, którą mam dziś, by się z tym skonfrontować. Dumnym z bronięcia ważnych

wartości, które są, jak sędzę, prawdziwymi wartościami katolicyzmu, wartościami, które powinny charakteryzować osoby duchowne. Tak myślę, mimo że nie należę już do tej religii. Czuję, że moja droga ku wyzwoleniu jest jeszcze długa, ale wierzę, że niniejsze świadectwo może być pierwszym krokiem.

Moje wspomnienia o tych zdarzeniach są bardzo rozmyte, co spowodowane jest z pewnością przez ten mechanizm zapomnienia, który był mi niezbędny, bym mógł dalej żyć. Przypominam sobie jednak, tak jak inne ofiary, które złożyły świadectwo, tę „słynną” salkę (coś w rodzaju lokalu z archiwami, jeśli dobrze pamiętam) na piętrach parafii Saint-Luc, dokąd ksiądz Preynat mnie prowadził i następnie prosił, bym mocno go ścisnął i mnie pieścił. Pamiętam podobne sceny w jego dużym namiocie podczas obozów. Pamiętam również niektóre zapachy - jego ciała, jego płynu po goleniu. Rzucił już wtedy palenie i często miał w zębach wykałaczkę, żeby powstrzymać się przed paleniem. Przypominam sobie niektóre „specjalne” względy, kiedy to zabrał mnie do samochodu po wycieczce pieszej lub gdy robił mi na obozie zdjęcia, które mi później ofiarowywał.

Jako że straciłem ojca bardzo wcześnie, myślałem, że ksiądz próbował przez te „względy” mi go zastąpić. Tak jak inne ofiary, nie rozumiałem tego i myślałem, że był to zapewne zwykły wyraz uczucia, specyficzna forma czułości. Udało mi się opowiedzieć o tym jedynie kilku moim partnerkom, kiedy skończyłem dwadzieścia lat, a później moim braciom i kilkorgu najbliższych przyjaciół. Nigdy nie potrafiłbym powiedzieć o tym mojej matce, która była bardzo wrażliwa, i która umarła zanim znalazłem odwagę i słowa. Ale czuję dziś, że muszę otwarcie mówić o tej przeszłości, bez wstydu, nie bojąc się osądów, ani spojrzeń innych, i że te działania podjęte wraz ze stowarzyszeniem „La Parole libérée” i dzięki niemu, są ważne. Nie chodzi o ostentację, ale nie mam też nic do ukrycia. „Nasza mała tajemnica” księdza

Preynata już nie istnieje. Nie jestem już dzieckiem, które padło ofiarą tych nadużyć, ale dorosłym, który pokazuje je palcem i chce sprawić, by winny oraz ci, którzy go kryli, odpowiedzieli za swoje czyny.

16. Olivier, 46 lat.

„Zaciągał mnie do różnych salek w parafii, do swojego pokoju...”

Tak, byłem jedną z ofiar księdza Bernarda Preynata, najpewniej w latach 77/78. Nie chcę opisywać całości jego poczynań, bo moje doświadczenia podobne są do tych opisanych przez wiele innych ofiar, byłych skautów z Saint Luc. Zaciągał mnie do różnych salek w parafii, do swojego pokoju, do namiotu na obozach, czy też na tyły autokaru, którym wracaliśmy z nart. To zaczęło się prawie od razu po moim dołączeniu do skautów i praktycznie we wszystkie soboty coś się wydarzało. Moje skrępowanie było tak silne, że położyłem temu kres bodaj rok później, pisząc do niego mu list. W odpowiedzi wysłał mi kartkę pocztową z Matką Boską z kilkoma sympatycznymi słowami.

Byłem miłym dzieckiem, układnym i spokojnym - są to zapewne kryteria wyboru dla tego typu prześladowców. Te gesty dotyczą ciała i duszę dziecka, które nie jest jeszcze w stanie świadomie powiedzieć „nie”. Niemożliwe - to był ksiądz, autorytet i wszyscy zdawali się go kochać. Jego uczynki musiały z pewnością mieć wpływ na osłabienie mojej „pewności siebie” w okresie dojrzewania. Lecz dziś to wszystko minęło, zostało z całą pewnością „przetrawione” i, ogólnie rzecz biorąc, mogłem żyć tak jak chciałem.

Jeśli ten człowiek nie byłby księdzem, zapewne od dawna byłby ukarany. Nie mógłby zachowywać się w ten sposób i czuć tak „komfortowo” przez tyle lat. Kościół niewątpliwie stworzył mu możliwość tego „polowania na dzieci” i mnożenia „zdobyczy” w kompletnej bezkarności. Ile jest nas, ofiar?

Właściwie, w tej historii najbardziej przeszkadza mi aspekt religijny. Ten człowiek był księdzem, odprawiał msze, udzielał nam komunii, spowiadał mnie, przed nim też złożyłem przysięgę skauta. Już w tym wieku wszystko, co religijne, miało na mnie wpływ emocjonalny i zresztą nigdy to nie ustało. Czuję, że było coś specjalnego i boskiego w istocie ludzkiej, więc brałem to wszystko z pewną powagą, powagą małego dziecka, które czuje już przemijalność rzeczy. Otóż ten człowiek tym bardziej profanował świętość, że sam był reprezentantem owej świętości. Ten aspekt jest dla mnie najbardziej niepokojący. W jaki sposób można żyć z tym przez lata? Jak można spać spokojnie, głosić pokój i miłość Boga?

Życzymy sobie, by ten ksiądz został dziś skazany przez ludzki wymiar sprawiedliwości. Lecz czy Bóg będzie miłosierny dla jego nieszczęścia, wobec tej profanacji? Miejmy też nadzieję, że Kościół „zapłaci” za swoją odpowiedzialność i za współwinę spowodowaną milczeniem.

Oto kilka refleksji, które przysły mi do głowy dziś wieczorem.

15. Cyril, 46 lat.

„Dlaczego odmówiłem tamtego wieczoru? W jaki sposób znalazłem siłę? Nie potrafię powiedzieć, może dlatego, że przebrała się miarka?”

17 lutego bieżącego roku dostaję SMS od przyjaciela z dzieciństwa z linkiem odsyłającym do artykułu w gazecie „20 Minutes”. Relacjonuje on złożenie zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa przez pewne stowarzyszenie z Lyonu przeciwko kardynałowi Barbarinowi za niezawiadomienie organów prawa o przestępstwie pedofilii! Gdy zapoznaję się z artykułem i odkrywam, że stowarzyszenie to zostało stworzone przez byłych skautów z Grupy Saint Luc, serce zaczyna mi kołatać, jakież zdumienie!

Nie mieszkam już w Lyonie od piętnastu lat, nie byłem więc na bieżąco z wiadomościami. Zapoznaję się z wszystkimi artykułami i reportażami na ten temat, ze stroną internetową stowarzyszenia, w szczególności ze świadectwami i blogiem. Wracają do mnie wszystkie bardzo głęboko zagrzebane wspomnienia. Bolesne wspomnienia...

Byłem skautem w GSL w latach 1980-1984. Jako że moi rodzice mieszkali w Sainte-Foy-Lès-Lyon, usłyszeli o tej grupie dużo dobrego od rodziców moich kolegów szkolnych i naturalnie mnie tam zapisali. Miałem wówczas dziesięć lat, dziś mam czterdzieści sześć.

Uczęszczałem również do parafii Saint Luc na lekcje religii. W tym okresie byłem ofiarą księdza Bernarda.

Pamiętam, że w pierwszym roku byłem szczęśliwy, odkrywając skauting, spotykając się z kolegami w sobotnie popołudnia, podczas niedzielnych wyjść i podczas pierwszego obozu w Hiszpanii w lecie 1981 roku. Było radosne podniecenie, dużo różnych aktywności, obozy za granicą i dobrze doszlifowana organizacja... Do tamtego momentu nic się nie stało.

Zacząło się dopiero na jesieni 1981 roku i nawet jeśli nie przypominam sobie wszystkich przypadków, - to było trzydzieści lat temu i wszystko jest głęboko skryte - to jednak wiele sytuacji teraz do mnie wraca.

Pamiętam „pierwszy raz” - w sobotnie popołudnie, pod koniec zbiórki, gdy inne dzieci już wracały do domu, ksiądz Bernard poprosił mnie, abym poszedł z nim i pomógł mu w porządkach. Przypominam sobie, gdy sam z nim wchodziłem po schodach do salki na piętrze w prawym kącie budynku przylegającego do kościoła. Położył mi dłoń na ramieniu, bym wszedł do salki, wziął mnie w ramiona i mocno przycisnął do siebie, moja głowa znajdowała się na wysokości jego brzucha, czułem jego oddech... jedną dłoń wsunął w moje szorty, podczas gdy drugą włożył mi pod koszulę i głaskał mnie po plecach, jeszcze mocniej przyciskając mnie do siebie. Całował mnie w policzki,

powtarzając: „Jesteś mój, Cyrilu”! Jak wiele innych ofiar, pamiętam ten zapach cygaretek i jego przyspieszający oddech.

Trudno powiedzieć, ile czasu to trwało, dziesięć minut, może więcej... Dziesięć minut, które wydały mi się wiecznością, po czym powiedział mi, że jestem jego ulubieńcem, że nie mam nikomu o tym mówić, i że będzie to nasza tajemnica, a później się rozstaliśmy.

Przypominam sobie dziwne odczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłem (miałem jedenaście lat), mieszankę strachu i wątpliwości - dlaczego to i dlaczego ja? Wszedłem ze zbiórki w bardzo złym samopoczuciu, odczuwałem skrępowanie, miałem ściśnięty żołądek. Idąc do samochodu mojej matki, zastanawiałem się, co pomyśli, bo wyszedłem ze zbiórki długo po wszystkich, w końcu jej powiedziałem, że kilku z nas zostało dłużej, żeby pomóc w sprzątaniu salki... W drodze powrotnej nie udało mi się jej powiedzieć, co się stało, owe wydarzenia bez ustanku odgrywały się w mojej głowie, ale nie potrafiłem ich wypowiedzieć. Nigdy później nie mogłem opowiedzieć o tym rodzinie.

Od tego momentu systematycznie powtarzało się to przez dwa lata, nie umiałbym powiedzieć, ile razy, ale wychodzi tego dużo. Za każdym razem jego gesty były coraz bardziej opresyjne, całował mnie w usta, a ja czułem jego język, głaskał mnie na dole pleców, po wewnętrznej stronie ud, jedną rękę wsuwał do moich szortów, by dojść do krocza i dotknąć mojego członka, podczas gdy drugą ręką prowadził moją dłoń, żebym tak samo dotykał jego członka. I co chwilę mnie pytał, czy „dobrze się tak czuję”, mówiąc mi, że mnie kocha i pytając, czy ja go Kocham. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, byłem sparaliżowany tą sytuacją...

Pamiętam miejsca w parafii, gdzie to się odbywało - tę salkę u szczytu schodów, salkę na dole, obok dużej sali spotkań, w której przechowywane były stroje, pomieszczenie służące za laboratorium fotograficzne na piętrze, korytarz tuż za ołtarzem kościoła.

Pamiętam też wiele przejazdów autokarem podczas niedzielnych wyjść albo podczas obozów (zwłaszcza na Korsyce). Siadał koło mnie i na oczach wszystkich brał mnie dyskretnie za rękę, umiejętnie chowając swoją dłoń pod jakimś ubraniem położonym w tym celu na moich i jego udach... później głaskał mnie po udach, prześlizgując się do mojego krocza i kazał mi robić to samo sobie... były to sytuacje, podczas których, raz jeszcze, byłem sparaliżowany ze strachu, czując wstyd i skrępowanie przed kolegami.

Obóz na Korsyce w lecie 1982 roku był zapewne punktem kulminacyjnym pod względem ilości i częstotliwości tych sytuacji - pamiętam, że jednego wieczoru, po posiłku, wydarzyło się to pod namiotem „marabutem”, innym razem w jego namiocie po kąpielu w morzu - on był w kąpielówkach, ja też... raz w autokarze, którym jechaliśmy na wycieczkę, raz na statku, którym płynęliśmy na kontynent, pamiętam, że siedziałem obok niego, zabraliśmy ze sobą koce, by pod nimi spać - bardzo praktyczne dla niego i jego „błądzących” rąk.

Pamiętam jeszcze rekolekcje weekendowe, zapewne w zimie 1982-83 (nie jestem pewien tej daty, ale pamiętam, że było zimno...). Wydaje mi się, że było to w regionie Monts du Lyonnais - byliśmy zakwaterowani w dużym domu na terenie jakiegoś zgromadzenia zakonnego. Wszyscy byliśmy w jednym pomieszczeniu i on tamtego wieczoru spał z nami. Po zgaszeniu światła, przyszedł się położyć koło mnie i zaczął mnie głaskać, całując mnie, mimo że mój najbliższy sąsiad znajdował się o niecały metr ode mnie. Kazał mi położyć się na sobie, uprzednio zdjawszy moją i swoją piżamę. I dotykał mnie tak samo jak opisałem powyżej. I znów też wypowiadał te same słowa. Następnego ranka czułem ten sam wstyd przed kolegami i to samo skrępowanie. Chciał to powtórzyć następnego wieczora, spałem już, ale szybko się obudziłem, gdy zaczął mnie obmacywać, bo wiedziałem, co mnie czekało. I nie wiem dlaczego, ale odepchnąłem go tak skutecznie, że w końcu do niczego nie doszło.

Następnego ranka chciał o tym rozmawiać i czułem, że był zaniepokojony tym, co się stało... odpowiedziałem po prostu, że nie czułem się za dobrze, że byłem zmęczony i chciałem spać.

Dlaczego odmówiłem tamtego wieczoru? W jaki sposób znalazłem siłę? Nie potrafię powiedzieć, może dlatego, że przebrała się miarka?

Czemu nie zrobiłem tego wcześniej? Nie znam odpowiedzi. Jednak nigdy więcej się to nie powtórzyło.

Opuściłem ostatecznie Grupę w 1984 roku po obozie we Włoszech i w Grecji. Nie byłem już zresztą w tamtym roku zbyt wytrwały w uczestniczeniu w sobotnich zbiórkach i niedzielnych wyjściach. Odszedłem z tym „bagażem”, nigdy nie mogąc o tym powiedzieć rodzinie. Tak jak wiele ofiar, które napisały wcześniejsze świadectwa, myślałem, że jestem w tej sytuacji sam.

Musiałoby minąć dwadzieścia lat, zanim powiedziałem o tym po raz pierwszy. W 2003 roku udało mi się zwierzyć bardzo bliskiemu przyjacielowi z dzieciństwa, który mieszkał w Sainte-Foy-Lès-Lyon i usłyszał o tej aferze, gdy ksiądz Bernard opuścił parafię w lutym 1991 roku. Wspomniał o tym w trakcie rozmowy. Skorzystałem z okazji i opowiedziałem mu swoją historię. Nie mógł w to uwierzyć.

Trudno jest zmierzyć konsekwencje tego, co mi się przytrafiło - wiem od rodziców, że byłem radosnym dzieckiem, które śpiewało cały czas... później, rzecz jasna, już tak nie było. Ale to przede wszystkim przez brak pewności siebie, wobec dorosłych, czy po prostu wobec dorosłego życia, dość późno wejść w życie zawodowe. Brak pewności siebie sprawił, że moja seksualność była skomplikowana, mówiąc oględnie. Będę musiał długo czekać, zanim znajdę równowagę w życiu w związku. Mam dziś szczęście dzielić życie ze wspaniałą partnerką, która potrafiła wysłuchać mojej historii. Mamy też szczęście mieć dwoje dzieci.

To świadectwo jest trudnym doświadczeniem i musiałem zaczerpnąć z głębi siebie, by je napisać, tak głęboko te

wspomnienia były zakopane, tak bardzo opisane zdarzenia są bolesne. Obudziło to we mnie na nowo uczucie „inności” spowodowane doświadczeniem czegoś nienormalnego... Ale czuję również ulgę, że przelałem tę historię na papier i jestem wdzięczny członkom-założycielom stowarzyszenia za danie mi ku temu okazji. Doceniam ich działania na rzecz lepszej przyszłości oraz ich odwagę. Dziękuję im, bo bez nich nic nie byłoby możliwe. I nic by się nie zmieniło. Wspieram ich działania - kroki podjęte w Watykanie oraz pozew złożony przeciwko kardynałowi Barbarinowi. Bo jak wytłumaczyć fakt, że Kościół wolał przez te wszystkie lata zabezpieczać instytucję, zamiast chronić dzieci i próbować naprawić krzywdy wyrządzone ofiarom? Kończąc, zachęcam wszystkie ofiary, by złożyły świadectwo, by zrzuciły z siebie ten ciężar, bo bezsprzecznie jest to moment przełomowy.

14. Pierre-Emmanuel, 36 lat

(“Czarni 2” od 1988 do 1991 roku)

„... głaskał mi skórę na biodrze pod koszulą, którą wcześniej wyciągnął mi z szortów”.

Jest 19 stycznia 2016 roku.

Źle zaadresowany do mnie list przyszedł do mojej matki, muszę więc przejechać przez piątą dzielnicę [Lyonu], żeby go odebrać, zanim wrócę do siebie do domu.

Jest koło osiemnastej, gdy przyjeżdżam do niej i nie domyślam się, czego zaraz się dowiem... Irène, moja matka: „Patrz, znalazłam dwa artykuły, myślę, że cię to zainteresuje”.

Czytam dwa artykuły prasowe, jeden z dziennika „Le Progrès”, drugi z „20 minutes”.

Mówią o jakimś stowarzyszeniu, jakimś księdzu i o podjętych krokach prawnych.

Wtedy wszystko do mnie wraca, serce zaczyna bić szybko, a moje życie stanie się „rollercoasterem emocjonalnym” jak nigdy wcześniej...

W tamtej chwili wszystko dzieje się bardzo szybko.

Od razu myślę, że muszę skontaktować się z tym stowarzyszeniem, z tymi ludźmi.

By wreszcie „uwolnić moje słowo” w nadziei, że wreszcie mi uwierzą, że ci, którzy nie uwierzyli, zdadzą sobie sprawę, jak bardzo akcja prowadzona przez „La Parole Libérée⁴” ma zasadnicze znaczenie dla mnie, ale też dla innych dzieci i tak wielu rodzin cierpiących od ponad dwudziestu pięciu lat.

Ojciec nigdy nie uwierzył w moją historię, a zresztą nie rozmawiamy ze sobą od prawie ośmiu lat. Być może nadszedł wreszcie czas, by się z nim pogodzić?

Marzyłem wiele razy, w najmnieszych szczegółach, o akcji tego stowarzyszenia i o tych ludziach, którzy je tworzą, ale tak bardzo cierpiałem i bałem się, że nie miałem siły, by wziąć coś takiego na swoje barki.

Wasze świadectwa bardzo mnie wzruszyły i myślę, że również muszę dla Was streścić moją historię, moje przeżycia i odczucia. Przeprowadziłem się z matką do Sainte-Foy-lès-Lyon na ulicę Commandant Charcot w lutym 1988 roku i bardzo szybko zaproponowano mojej matce, by mnie zapisała do skautów w parafii Saint Luc.

Pewna kobieta, pani D., opowiedziała jej, że panuje tam radość, duch dzielenia się, i że dziecku z dużymi problemami jak ja, może to pomóc w rozwoju.

Faktycznie, przeprowadziłem się właśnie ze Strasburga, gdzie moi rodzice się rozwiedli, co było dla mnie bardzo trudnym doświadczeniem emocjonalnym.

Przez całe życie cierpiałem i nie radziłem sobie w szkole i w wieku trzydziestu trzech lat zostałem zdiagnozowany jako nieprzeciętnie zdolny. To odkrycie siebie na nowo wytłumaczyło

⁴ „Uwolnione słowo”, niniejsze stowarzyszenie, nota tłumaczki

mi moje cierpienie i powody, dla których zawsze czułem się inny, samotny, wyalienowany...

W tamtych czasach matka próbowała mnie „zająć” wszystkimi możliwymi sposobami.

Jednak korepetycje, lekcje solfeżu, pianina i różne zajęcia sportowe nie wystarczały, by zająć moje myśli.

Matka decyduje więc, by zapisać mnie dodatkowo do skautów, którzy mają zbiórki w sobotnie popołudnia na parterze kościoła Saint Luc.

Dołączam do Grupy Saint Luc we wrześniu 1988 roku. Noszę mundurek, z którego matka jest bardzo dumna (ja też). Niebieska koszula, granatowe szorty, zielona chusta - pamiętam, jakby to było wczoraj.

Dzieci wydają się zadowolone, że tutaj są, choć wyczuwam jakąś pewną specyficzną atmosferę, ale absolutnie nie domyślam się, co mogło się tam dziać przed moim dołączeniem.

Tak jak spora część z Was, zostałem po raz pierwszy zaprowadzony „na prawą stronę”.

Położył mi rękę na ramieniu i kazał mi ze sobą iść, pod pretekstem że niby mam mu pomóc przenieść jakieś sztandary.

Kazał mi wejść po schodach znajdujących się po prawej stronie, prowadzących do swego rodzaju biura.

Schody były strome, a na ścianach były wszelakie rodzaje dekoracji z wizerunkami członków Grupy Saint Luc.

Miałem dziwne przeczucie, byłem niespokojny, ale przecież to był ksiądz Bernard, więc nic złego nie mogło mi się stać w jego obecności, jako że był to „posłaniec Pana Boga”.

Drzwi się zamknęły, w pokoju było bardzo ciemno i od razu poczułem, że nie był to już ten sam człowiek.

Zbliżył się do mnie i stanął przede mną z szeroko otwartymi oczami... Zaczął od ściskania mnie w swoich ramionach i głaskania mnie tak, jakby chciał mnie pocieszyć.

Głośno oddychał i miał osobliwy zapach, zapewne potu.

Mówił mi, że jestem jego ulubieńcem, że dokonam pięknych rzeczy, i że wszystko to miało zostać między nami: „to nasza mała tajemnica”.

Wtedy delikatnie ujął mnie za brodę i pocałował lekko w usta, a drugą dłonią głaskał mi skórę na biodrze pod koszulą, którą wcześniej wyciągnął mi z szortów.

Te pięć czy dziesięć minut wydało mi się wiecznością. Rzecz jasna, nie zabraliśmy stamtąd żadnego sztandaru.

Miałem w głowie tylko jedno - ucieczkę - ale byłem sparaliżowany.

Jako że nigdy nie rozmawiałem o seksualności (siłą rzeczy w wieku dziewięciu lat nie mówi się o tym), nie wiedziałem, co powiedzieć, w tamtej chwili najprawdopodobniej musiałem pomyśleć, że to był taki zwyczaj...

A jednak, już od tego pierwszego razu, mój mały mózg „zebry”⁵ dotkniętej traumą czuł, że nie było nic dobrego w czynach tego charyzmatycznego człowieka.

Ta scena powtórzyła się wiele razy, zawsze w tym samym miejscu, i nie będę opowiadał więcej szczegółów na temat tych zdarzeń.

Zdarzyło się mi się też paść ofiarą molestowania przed nabożeństwem w kościele, lecz z trudem przypominam to sobie...

Mimo kilku prób opowiedzenia o tym w gronie bliskich, wolałem to wszystko zagrzebać. Nikt nie odważył się mi uwierzyć, pomimo narastających plotek w Sainte-Foy-lès-Lyon.

Moja przygoda w Grupie Saint Luc skończyła się na początku 1991 roku, po tym jak uczestniczyłem w dwóch obozach (na szczęście tylko dwóch) - w miejscowości Saint-Symphorien-sur-Coise i w Irlandii w lipcu 1990 roku.

Z tego drugiego obozu zachowałem pewną ilość zdjęć, w tym jedno, które przekazałem władzom.

Na szczęście, nigdy nic mi się nie przydarzyło na tych obozach - uważałem jednak, by nigdy nie znaleźć się z nim sam na sam.

⁵ Synonim osoby nieprzeciętnie zdolnej, nota tłumaczki.

Równoległe z GSL, byłem również ministrantem w szkole La Favorite i mój mózg tak bardzo chciał się od tego wszystkiego odciąć, odnaleźć normalne życie, że nie pamiętam, czy coś stało się również na terenie owego gimnazjum, przed mszą.

Dwadzieścia pięć lat później, ci odważni ludzie stworzyli to stowarzyszenie po to, by przerwać ciszę i dziękuję im za to z głębi serca.

Dzięki nim stają w świetle dnia naruszenia tego księdza w pełni świadomego swych poczynań, i który przyznał się już wcześniej do popełnienia takich czynów.

Dołączam do nich, byśmy razem mogli dochodzić sprawiedliwości i uzyskać odpowiedzi na temat milczenia Kościoła przez te wszystkie lata.

Zachęcam wszystkich tych, którzy jeszcze nie ośmielili się zrobić tego kroku, przez wstyd lub przez zaprzeczenie, by się ujawnili i uwolnili od tego ciężaru.

Wydaje się, że niektórzy nadal są pod przemożnym wpływem tego narcystycznego księdza i nie ośmielają się otworzyć oczu na prawdę.

Tym osobom odpowiadam, że ciągle jest możliwe otwarcie Waszych serc, uwolnienie od tego ciężaru i przekazanie tego ciężaru wymiarowi sprawiedliwości po to, by „stało się światło”.

Bardzo intensywnie myślę o moich kolegach z zastępu („Czarni 2”) i o wszystkich tych, którzy cierpieli. Wybaczcie mi, że nie reagowałem wcześniej.

Dziś dołączam do tej walki dla siebie, dla Was i Waszych rodzin.

13. Jean-Yves, 46 lat.

*„Ja, dorosły, jestem tym chłopcem, któremu zdeptano dzieciństwo.
Jestem ofiarą...”*

Po prowadzonych przez księdza Preynata koloniach w Sainte Suzanne w lecie 1976 roku, dołączyłem do Grupy Saint Luc we wrześniu/październiku 1977 roku. Najpierw byłem szóstkowym w

zuchach w „Akélasach”, a później przeszedłem do „Czarnych” jako młodzik, gdzie, jak sądzę, byłem podzastępowym. Zostałem tam do lata 1980 roku. Moja pamięć dotycząca faktów jest oczywiście niepełna. Czy mogę tego tak naprawdę żałować, jeśli, z czego zdaję sobie sprawę, ta właśnie fragmentaryczność pamięci pozwoliła mi się jakoś ukształtować i kompletnie się nie załamać? Mam czterdzieści sześć lat, a w chwili tamtych zdarzeń, gdy wszystko się zaczęło, miałem siedem albo maksymalnie osiem lat. Nie jestem dziś w stanie określić dokładnie, kiedy ksiądz Preynat rozpoczął spersonalizowane seanse mające służyć wzniosłemu kształtowaniu mojej duszy. Nie potrafię też dokładnie określić, ile ich było. Ale wiem, że się odbyły. Wiem, że powtarzały się przez prawie dwa lata, przynajmniej do momentu, gdy niektóre moje słowa zaalarmowały moich rodziców. Matka poszła wówczas porozmawiać z księdzem Bernardem, żądając wyjaśnień. W następnym roku nie zostałem już zapisany z powrotem do skautów. Przez dłuższy czas żyłem, nie rozumiejąc, co mi się przytrafiło. A przecież wszystko to było we mnie, tuż pod powierzchnią mojej egzystencji, znane, ale przysłonięte przez migotanie mijającego życia. To było nawet przedmiotem pewnego porozumienia z moim bratem, gdy wspominaliśmy te czasy z uśmiechami pełnymi podtekstów. Z tą różnicą, że mi się to naprawdę przydarzyło. Zmuszałem się więc do uśmiechu. I jednocześnie odsuwałem od siebie te wspomnienia. A później, pewnego dnia, dwa lata temu, w maju 2014 roku, skojarzyłem z moimi własnymi doświadczeniami słowa, które do tej chwili należały do życia innych, nie mojego. Nie jest łatwo opisać taką chwilę - jest to jednocześnie wybuch i rozpad, w których mieszają się niedowierzanie i pewność, łzy bólu i wyzwolenia, duszenie się i wymioty. Ja, dorosły, jestem tym chłopcem, któremu zdeptano dzieciństwo. Jestem ofiarą. Ofiarą księdza pedofila. Każde słowo staje się bombą odłamkową. To świadectwo jest dla mnie rodzajem inwentaryzacji i etapem w procesie, który, przeciwnie niż sądziłem, nie jest zakończony. Pomaga mi lepiej zrozumieć

siebie i przyswoić sobie życie na nowo. Moje pierwsze relacje uczuciowe oraz początki mojej seksualności były bardzo skomplikowane. Doznawałem porażenia mięśni, którego nie rozumiałem. Pewność siebie zawsze była dla mnie bardzo trudnym wyzwaniem. Dziś lepiej pojmuję, czemu zawsze buntowałem się przeciwko nadużyciom władzy i dlaczego zawsze leżało mi na sercu, by z nimi walczyć, w sposób przesadny lub prawie samobójczy, jeśli na to spojrzeć z zewnątrz. Ciekawe, że zawsze tkwiło mi w głowie to wyrażenie: „Nie, nigdy nie spuszczę spodni przed kimś, tylko dlatego, że reprezentuje władzę”... Mam czterdzieści sześć lat i nawet jeśli uważam, że dość dobrze udało mi się z tym wszystkim uporać, zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie musiał budować swojej osobowości na tym bagnie. Wielokrotnie doświadczyłem molestowania ze strony księdza Bernarda, gdy wzywał mnie do swojego biura w środku dnia. Ile razy? Kiedy? Nie jestem w stanie powiedzieć tego dokładnie, ale wiem, że się to rzeczywiście zdarzyło. Jedną ze scen, która szczególnie zapadła mi w pamięci, dobrze ilustruje całość sytuacji. Otóż Ksiądz wezwał mnie do swojego biura/pokoju w schronisku dla młodzieży w Montabaur podczas obozu w Niemczech we wrześniu 1978 roku. Posadził mnie sobie na kolanach, przycisnął mnie do siebie i włożył ręce pod moje ubrania - na udach, torsie, brzuchu. Jego ręka wcisnęła się pod pasek. Oddychał wtedy ciężko - dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że to było z podniecenia! Pamiętam też, że jednocześnie żuł zapalkę, przez co miał taką dziwną wymowę. Ale to, co najgorsze, przytrafiło się w innym momencie tamtego pobytu. Poszliśmy na pieszą wycieczkę, która zakończyła się jednonocnym biwakiem. Wieczorem ksiądz Bernard zawołał mnie do swojego namiotu, bym spędził z nim noc. Przez długi czas nie miałem w głowie dostępu do tego, co się zdarzyło. Kompletna dziura w pamięci, ale głuche i głębokie skrępowanie na myśl o tym. Widziałem tylko mój śpiwór w jego namiocie.

Ujrzenie jego zdjęcia w programie telewizyjnym „Sept à Huit” było jak cios pięścią w żołądek. Wcześniej widywałem zdjęcia pedofilów w gazetach, ale nigdy nie miałem na ich widok instynktownych odruchów wymiotnych. Tym razem jednak moje ciało reaguje, mówi do mnie, a zasłona, która dotychczas wszystko zakrywała, zaczyna się rozsuwać.

Nie odtworzyłem sobie jeszcze w pamięci wszystkich obrazów, ale wiem, że była to paskudna noc. Pisanie tego świadectwa jest trudniejsze niż sądziłem. Jak dawać świadectwo? Od kilku dni ten problem mnie prześladowa. Dla kogo? Po co? Dla tej parafianki, która nie chce w to wierzyć (reportaż w „Sept à Huit”), dla tego policjanta, który czeka na szczegółowe fakty, dla innych ofiar, które nie ośmielają się albo nie mogły o tym powiedzieć? Dla mnie? Do kogo mam się zwrócić? Po co niby to robić, kiedy moje wspomnienia są niedokładne i niektórzy nie omieszkają mi tego zarzucić? Ten, kto nie chce wierzyć, zawsze znajdzie powody, by się upewnić w swojej niewierze. Ale od kiedy podjąłem decyzję o złożeniu świadectwa, mam mdłości prawie codziennie, w domu, w pracy... Wiem, że jeszcze wybuchnę, bo zbiera się to we mnie tak samo jak dwa lata temu. Bo chcę sobie wszystko przypomnieć. By kompletnie się uwolnić. I muszę zburzyć wszystkie mury, które dotychczas mnie chroniły. Niektórzy nie będą chcieli wierzyć w te świadectwa, bo człowiek, którego znali, był osobą publiczną pełną namaszczenia, charyzmy i pięknych słów, która nas uwiodła i zdradziła. Ale skrywał inną osobę, która bardzo dobrze wiedziała, co robi. Która robiła to przez prawie dwadzieścia lat. Mimo wielu interwencji rodziców. I mimo „napomnień” ze strony przełożonych... Na szczęście są jego wyznania. Wy, którzy go znaliście albo nie, nie zapominajcie, myśląc z bólem lub współczuciem o tym „starszym”, czy też „zagubionym” człowieku, że nie miał on litości dla dzieci, którymi byliśmy. Zanim zaczniecie go usprawiedliwiać (jak to niektórzy próbowali lub nadal próbują, trochę zbyt pochopnie), uświadomcie sobie najpierw wszystko, co zrobił, każde jego słowo, każdy gest. I

pomyślcie, że mógł zrobić to wam. Lub waszym dzieciom. Usprawiedliwianie go, czy nawet przebaczenie należy do jego ofiar. Do nikogo innego. To świadectwo jest tylko kroplą wśród innych, lecz potok zaczyna przybierać. I, w pełnym spokoju, jestem gotów na konfrontację z kimkolwiek. Moje świadectwo nie jest kamieniem, który rzucam w księdza Bernarda. Interesuje mnie jedynie ujawnienie prawdy. A ukaraniem go zajmą się organy sprawiedliwości.

12. Didier, 48 lat

Nie jestem już sam

„Stałem przed nim, zsunął mi spodnie...”

Przeprowadziłem się do Sainte-Foy-lès-Lyon w 1978 roku, miałem dziesięć lat, a moi rodzice właśnie się rozstali. Poszedłem do szkoły Paul Fabre i matka bardzo szybko zapisała mnie do skautów Saint Luc. Wydawało mi się, że to trochę jak przygody „Młodych Skautów” z Kaczora Donalda, czułem się trochę jak Hyzio albo Dyzio, a nawet jak Zyzio. A to dlatego, że nigdy tak naprawdę nie otrzymałem wychowania religijnego. Nawet nie byłem ochrzczony. Uwielbiałem za to tę stronę „traperską”, zabawy w lesie i tak dalej. Tak, byłem młody i naiwny.

Pamiętam jednak, że nie czułem się tam komfortowo. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek czuł przyjemność z wyjazdu na obóz. Ponad trzydzieści pięć lat później, mam niewiele wspomnień z tego okresu, gdyż

„sformatowałem” większość stref mojego mózgu, które mogłyby mi przypominać o tych chwilach skrępowania, cierpienia, wstydu, wewnętrznego bólu, niewypowiedzianego, bo stygmatyzującego.

„Uciekłem” od skautów i tych miejsc po roku lub dwóch.

Pewnego dnia spotkałem „księdza Bernarda”, który mnie zapytał, dlaczego już nie przychodzę, a ja szybko mu odpowiedziałem, że

moja matka nie chciała, żebym przychodził. Nie moja wina... I odszedłem w swoją stronę.

Codziennie, idąc na przystanek autobusu, którym dojeżdżałem do szkoły, przechodziłem przed lub za kościołem. Szedłem szybko, nie patrząc na ten budynek, który wydawał mi się brzydki i pozbawiony duszy. Nigdy nie lubiłem nowoczesnych kościołów, z pewnością z tego właśnie powodu. A jednak doceniam dziedzictwo, które zostawiła nam ta religia, lubię wchodzić do tych uspakajających miejsc, jeśli tylko mają jakąś historię. Ale nie do tych betonowych, kwadratowych molochów... Są zimne, pachną cygarem...

Na parterze kościoła była salka, do której chodziliśmy się bawić, uczestniczyć w lekcjach religii, rysować. Pamiętam, jak w głębi tej salki przyciskał mnie do swojego ciała. W cieniu, pośród innych, ale w oddaleniu. Dyskretnie. Mówiąc mi, że jestem jego ulubieńcem. Byłem dumny z bycia jego ulubieńcem. Jako że mojego ojca nie było, matki prawie też nie, przynajmniej nigdy wtedy, gdy była potrzebna, czułem, że jestem doceniany.

Mam dwa wspomnienia, które nadal są żywe, i które sprawiają za każdym razem, gdy o nich myślę, że mam łzy bólu w oczach. Tym bardziej teraz, gdy odkrywam tę stronę internetową i działania podjęte przez François po to, by ujawnić prawdę, i by to się już nie powtórzyło, by nasze dzieci i wnuki były chronione przed tymi prześladowcami.

Poprosił mnie, żeby poszedł z nim do jego domu. Do tego małego, starego domku naprzeciw stacji benzynowej. Wziął mnie za ramię na przejściu dla pieszych. Dziś ten dom jest zburzony. Nie byłem wtedy z nim sam na sam, był ze mną jeszcze jeden skaut, może dwóch.

Przypominam sobie, że była wtedy z nami jeszcze jedna osoba, dużo starsza. Jeden ze skautów? Członek parafii? Nie potrafię powiedzieć. Wszedłem do tego pokoju pomalowanego, jak mi się zdaje się, na zielono, a on usiadł naprzeciw mnie na krześle. Stałem przed nim, zsunął mi spodnie i zaczął pieścić mi członek,

brzuch, cały czas się przede mną masturbując. Nie sędzę, bym widział jego członek, ani bym go dotykał. Jeśli jednak tak było, to znaczy, że ten fakt również „sformatowałem” w mózgu. Pamiętam, że ktoś na mnie patrzył. Po mojej lewej stronie był jakiś inny dzieciak, jak mi się wydaje. Jedno jest pewne, nie byłem sam w tym pokoju.

Inne wspomnienie tkwiące w mojej pamięci to wyjazd na narty do miejscowości Gresse-en-Vercors. Pogoda tego dnia była kiepska.

Dziś mam piekielny wstręt do tej stacji narciarskiej, którą niezmiennie uważam za brzydką i nieciekawą. A przecież uwielbiam narciarstwo, które uprawiam od czwartego roku życia.

Matka odprowadza mnie do autokaru, którym mamy odjechać, rozmawia chwilę z księdzem Bernardem. Jest ze mnie dumna, bo jestem jego ulubieńcem. W autobusie mam miejsce koło niego. Siedzę przy oknie, głowę mam przyciśniętą do szyby, wiem z góry, co zaraz się stanie.

Podczas całej podróży będzie mi wkładał rękę pod spodnie, które były na mnie za duże, dla niego zaś idealne. Weźmie moją dłoń, żeby włożyć ją w swoje spodnie. Będzie mi pomagał się pieścić, dotykając mnie na oczach wszystkich. Droga będzie długa, a dzień na nartach, który miał być chwilą radości, pozostanie do dziś najgorszym dniem na nartach w moim życiu. Nie wiem, czy w drodze powrotnej byłem jeszcze jego ulubieńcem. Co dziwne, chwila powrotu nie istnieje w meandrach mojego mózgu. Pamiętam tylko, że czułem się źle, to jedyne, co z tego pozostało.

To po tym dniu na nartach opuszczam skautów. Moja matka powie, że zauważyła, że coś było nie tak. Ale to działo się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, o tych sprawach się nie mówiło, nie przyznawało do nich.

Nadal, gdy o tym myślę, ściska mnie w żołądku. François może potwierdzić, że podczas tamtej rozmowy przez telefon głos mi drżał, gdy próbowałem wnieść mój wkład i pogratulować mu tak wielkiej odwagi. Ja nie mam jeszcze tej odwagi, by mówić o tym

otwarcie, ale pisanie tego świadectwa tekstu ogromnie mi pomaga. Nie jestem już sam.

11. Éric, 46 lat, “Biały wilk”, następnie “Orzeł” *„Tajemnica ukrywana przez dwadzieścia lat”*

Jakże zły to był pomysł, gdy, mając osiem lat, zgodziłem się na propozycję moich rodziców, by zostać skautem!

Ale wraz z moimi dwoma kolegami ze szkoły Sainte Ursule nie mogliśmy odmówić takiej propozycji! Lubiłem naturę, lubiłem budowanie szałasów, chodzenie po lesie... nie trzeba mi było więcej, by zapalać entuzjazmem. Nie wiedziałem, że w tym lesie naprawdę „czaił się wilk”!

Przez cztery lata skautingu (1978-1982), moim głównym zmartwieniem, poza dostawaniem dobrych ocen w szkole, było unikanie „Księdza Bernarda”.

Aż do dziś nie znałem nawet jego nazwiska.

W poniedziałek 25 stycznia 2016 roku wieczorem, w wiadomościach na stronie Google, znalazłem artykuł, który od razu przykuł moją uwagę i ujawnił mi tę smutną prawdę. Okazało się, że moja tajemnica, którą w wieku trzydziestu trzech lat ujawniłem moim bliskim, była podobna do doświadczeń dziesiątek innych osób.

Na zdjęciach w artykule widzę François i Bertranda - ich twarze wydają mi się znajome. Widzę też zdjęcie księdza, o którym myślałem, że nie żyje - minęły wszak trzydzieści cztery lata. Odkrywam, że niektórzy padli jego ofiarą w kościele Saint Luc. W moim przypadku odbywało się to podczas wyjść i obozów wakacyjnych. Wspomnienia wracają - Bretania, gdzie wydawało mi się, że jestem w wojsku dla dzieci, i gdzie wszyscy mieliśmy zatrucie pokarmowe, i gdzie, w wybuchu złości, zabronił nam oglądać fajerwerki na 14 lipca; Olimpiada, Hiszpania i Korsyka, gdzie kompletnie się załamałem, bo nie chciał mi odpuścić.

W autokarze jadącym po wąskich drogach korsykańskich, na zakrętach i nad urwiskami, chciało mi się wymiotować, ale w rzeczywistości nie to było najgorsze! Siedziałem na miejscu od strony przejścia, a on wybierał swoją ofiarę przy wszystkich! Przy fotelach były małe rozkładane siedzenia i siadał na nich przy jednym z nas. Przyszła kolej na mnie. Usiadł koło mnie i udawał, że śpi, pokładając się na moich nogach, a jego ręce wślizgiwały się pod moje szorty z niebieskiego weluru. Ciągłe widzę te przerażone spojrzenia niektórych kolegów. Ale dlaczego nic nie powiedzieli? Inni bawili się z tyłu autokaru i sprawiali wrażenie, że ich to nie obchodzi.

Gdy tylko mogłem, dopadałem budek telefonicznych, żeby zadzwonić do matki do pracy (była moim jedynym wsparciem) i płakałem i płakałem przez telefon, ciągle nie mogąc jej powiedzieć, dlaczego płaczę. Gdyby nakręcić o tym film, byłby to *La meilleure façon de marcher*⁶ z Patrickiem Dewaere w roli głównej, o którego samobójczej śmierci dowiedzieliśmy się na promie wiozącym nas na kontynent. Ironia losu.

Samobójstwo też mogłoby być dla nas wybawieniem.

Niewyobrażalna jest presja, jaką odczuwa się będąc dzieckiem i nie mogąc kierować własnym losem. Myślę, że nigdy więcej czegoś takiego nie doświadczyłem.

Obozy były najgorsze, bo „Ojciec” miał swój namiot i w każdej chwili mógł nam powiedzieć: „Przyjdź do mnie do namiotu” i znowu to samo - w moim przypadku wielokrotne molestowanie, ale być może inni doświadczyli gorszych rzeczy. Pamiętam spojrzenia dziewcząt - nie rozmawialiśmy za bardzo z „Jeannette’ami” - niektóre wydawały się życzliwe, smutne, współczujące. Między kolegami panowało milczenie, moi kumple Régis i Jérôme nic mi mówili - gdy wychodziło się z jego namiotu, myślało się: „tak to już jest”. Ja robiłem tak samo, w

⁶ Film francuski z 1976 roku w reżyserii Claude’a Millera. Akcja rozgrywa się na obozie letnim dla dzieci. Film opowiada o skomplikowanych relacjach siły między dwoma opiekunami obozu. W jedną z głównych ról wcielił się kultowy francuski aktor Patrick Dewaere, który popełnił samobójstwo kilka lat później, w 1982 roku.

końcu to był dorosły, którego trzeba było szanować. Takie jest życie, myślałem. A nasi rodzice uważali, że jest wspaniały. Gdy łąkałem przed ojcem, błagając, bym nie musiał już tam wracać, uznał, że to kaprysy. I ostatecznie mój ojciec, który już nie żyje, niczego się nie dowie, moje trzy siostry, osłupiałe, nic z tego nie zrozumiały, moja matka jest załamana, a ja jestem mężem i ojcem czterech synów, którzy nie są ochrzczeni, i którzy są z dala od tego wszystkiego. Noszę ten ciężar, ale ostatni rozdział tej historii niebawem się skończy!

Wybaczenie nie wyklucza zapomnienia. Nie mam w sobie nienawiści, ani chęci zemsty, mam za to alergię na pyłki i na kościoły.

10. B., 40 lat.

„Przypominam sobie, że byłem sparaliżowany, i że czekałem w mieszance lęku i braku zrozumienia, kiedy »to« się skończy.”

13 stycznia 2016 roku usłyszałem w moim radiu samochodowym, na kanale „Lyon Première”, fragment reportażu o stworzeniu stowarzyszenia...

Byłem w szoku, gdy zrozumiałem, że moje „podejrzenia” na temat księdza Bernarda Preynata były uzasadnione. Odkrywając świadectwa, które zebraliście, byłem zdruzgotany liczbą ofiar i postawą diecezji.

Urodziłem się w 1975 roku i przez wiele lat byłem skautem w Saint-Luc (myślę, że między 1983 rokiem - gdzieś jeszcze mam medale zdobyte na Olimpiadzie w Saint-Symphorien-sur-Coise - a 1986, mogę się mylić o jeden rok). Byłem również ministrantem (służyłem regularnie do pierwszej porannej mszy niedzielnej o ósmej trzydzieści albo do sobotniej mszy wieczornej). Mam niewiele wspomnień ze skautów (zgromienie przez księdza Bernarda za to, że nic nie rozumiałem z jakiejś gry terenowej, wesołe żartowanie z kolegami w namiocie, „starszaki”, które

bawiły się w „chrzczenie” nowych beretów najmłodszych, odrywając tym beretom „ogonek”...).

Nie wiem, czy reszty nie wyparłem ze świadomości, ale najprawdopodobniej nie doświadczyłem niczego złego podczas obozów. W pamięci zachowuję natomiast pewne zdarzenie, które mnie naznaczyło, bo często wracałem do niego myślami i dlatego też, że niedługo po nim przestałem służyć jako ministrant.

Był niedzielny poranek, po pierwszej mszy (następna miała się zacząć zapewne dopiero godzinę później). Pomogłem w liturgii i właśnie miałem zdjąć albę (czy też właśnie ją zdjąłem) w salce na tyłach kościoła, gdzie księża i ministranci przebierali się i przygotowywali wino oraz hostię. Byłem wtedy sam na sam z „księdzem Bernardem” (o tej godzinie zresztą często byłem sam z którymś księdzem, czy to z księdzem Plaquetem czy Preynatem), parafianie już wyszli, kiedy mnie „złapał” (z tego, co pamiętam, dość mocno) i trzymał za ramiona, przyciskając mnie do swego ciała przez chwilę, która wydała mi się przesadnie długa (myślę, że około pół minuty).

Ze względu na mój wzrost, miałem klatkę piersiową na wysokości jego członka, a głowę na jego brzuchu.

W milczeniu.

Przypominam sobie, że byłem sparaliżowany, i że czekałem, z mieszaniną lęku i niezrozumienia, kiedy „to” się skończy.

Pamiętam, że coś mi powiedział po tym wszystkim, ale nie wiem, co. Miałem szczęście, że nie padłem ofiarą molestowania, ale ta scena była wystarczająco traumatyczna, żebym do niej regularnie wracał myślami przez późniejsze lata. Nie odważyłem się opowiedzieć o niej rodzicom i szybko położyłem kres mojej posłudze ministranta po kilku mszach wybranych tak, aby było większe prawdopodobieństwo, że w tej salce będą inne osoby.

Pamiętam, jak podczas następnych miesięcy próbowałem wytłumaczyć to sobie jako chwilę smutku, podczas której potrzebowałem pocieszenia. Pojęcie pedofilii nie było jeszcze wtedy rozpowszechnione... W tamtych czasach jedynymi zbrodnicami,

o których słyszeliśmy, były wyimaginowani nieznajomi, którzy mogliby nas złapać na ulicy i wrzucić do bagażnika samochodu. Dopiero po nagłośnieniu w mediach „afer” dotyczących księży, moja interpretacja tego zdarzenia zmieniła się. Jednakże nawet jeśli to zachowanie było niestosowne, to nie było wystarczające, by uzasadnić złożenie zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa...

„Machnąłem więc ręką”...

Dopiero cztery czy pięć lat temu, podczas rozmowy z matką (gdy przejeżdżaliśmy samochodem przed miejscem, gdzie niegdyś wznosiła się kuria na ulicy Commandant Charcot) powiedziałem jej o tym, co się stało. Mówiła mi właśnie o wszystkich dobrych czynach księdza Preynata, kiedy jej odpowiedziałem: „Taaa... w każdym razie mnie raz przytulił trochę za bardzo” i następnie wytłumaczyłem jej okoliczności tego zdarzenia. Tamtego wieczoru „wygooglowałem” jego nazwisko, żeby zobaczyć, czy coś zostało opublikowane na jego temat, ale nic nie znalazłem. W duchu zrzuciłem to więc na karb „przelotnego zagubienia” bez większego wpływu na mnie (poza faktem, że - dziś dopiero to zauważam - myślę o tym wiele razy w roku, za każdym razem, gdy słyszę o jakiejś nowej „sprawie pedofilskiej”, która pojawia się w mediach...). Te skojarzenia nie są więc przypadkowe. Pozostaję w nadziei, że wszystkie ofiary zostaną poinformowane o istnieniu tej potrzebnej i słusznej inicjatywy...

9. Christian, 50 lat, ofiara, brat Didiera, ofiary

„Następnie zdjął spodnie i zmusił mnie, bym go pieścił, mówiąc mi, że jestem jego chłopcem...”

Dzwoni do mnie François Devaux (którego nie znam) i przedstawia się jako były skaut z Grupy Saint Luc. Mówi mi o księdzu Bernardzie Preynat i o krokach, które przeciwko niemu chce przedsięwziąć, opowiada o tym, co mu się przydarzyło w Grupie Saint Luc. Jako że jestem w pracy, nie bardzo mogę

rozmawiać, wysyła mi więc przez SMS namiary do siebie i później dostaję mail z linkiem do strony internetowej, którą stworzył.

Przeglądając tę stronę i świadectwa, jestem osłupiały.

Zrozumiałem, że nie jestem jedyną osobą, która tego doświadczyła. A ja myślałem, że jestem sam!

Nie chciałem pisać świadectwa, ani zeznawać, chciałem zapomnieć te paskudne lata w Grupie Saint Luc, a przede wszystkim zapomnieć tego księdza, którego nazwałbym teraz „paskudnym typem”. Lecz po wielu dniach przemyśleń, doszedłem do wniosku, że trzeba, by wszyscy się dowiedzieli - uczynił mi tyle zła... Nawet jeśli niektórym się to nie spodoba, bo zbyt wielu ludzi nadal podziwia Bernarda Preynata! Najpierw powiedziałem o tym mojej matce, która nie wiedziała, co mi się przydarzyło. Ale znała historię mojego brata Didiera.

Dołączyłem do grupy „młodzików” w GSL w roku 1967, miałem pewnie jedenaście lat. Serge Motton był wówczas naszym drużynowym, mam o nim dobre wspomnienia. W kolejnym roku szkolnym awansowałem do „Juniorów” i jesienią 1977 roku zorganizowaliśmy weekend w parku Notre-Dame de la Salette w Sainte-Foy-lès-Lyon. Rozstawiliśmy namioty i po wieczornym ognisku, gdy wszyscy już poszli spać, ksiądz mnie wezwał (zastanawiałem się, czy zrobiłem coś złego). Zaciągnął mnie do swojego namiotu, który zamknął, a następnie przycisnął mnie do siebie, pachniał zimnym cygarem (palił cygaretki), nie znosiłem tego zapachu, próbowałem się wyswobodzić, ale jeszcze mocniej mnie ścisnął i zaczął mnie głaskać, a ja byłem kompletnie sparaliżowany. Zastanawiałem się, o co chodzi. Następnie te jego pieścizoty stały się bardziej natarczywe, ujmował moje dłonie, żebym go pieścił, położył mnie na ziemi w namiocie, zsunął moje spodnie od pizamy i zaczął mnie głaskać po penisie. Bałem się, byłem odrętwiały, nie mogłem się ruszyć, przylgnął do mnie, mówiąc: „jesteś moim dużym chłopcem, to nasza tajemnica, nie możesz o tym mówić”. Następnie zdjął spodnie i zmusił mnie,

bym go pieścił, mówiąc mi, że jestem jego chłopcem, nadal mnie pieszcząc, czułem jego oddech, który przyspieszał, musiałem robić to samo, co on mi, aż nie osiągnie przyjemności. Nie miałem pojęcia o tych rzeczach i tamtego wieczoru nauczył mnie słów i zachowań seksualnych, których nie znałem!

Wróciłem do swojego namiotu i położyłem się, mówiąc sobie, że to było być może normalne, to był ksiądz Bernard, on był naszym zwierzchnikiem, trzeba go szanować. Nie wiedziałem, co myśleć, zwłaszcza że moi rodzice tak go cenili.

Nazajutrz zachowywał się jakby nigdy nic.

Myślałem, że jestem jedyny, naprawdę całkiem sam w tej sytuacji. Weekend się skończył, wróciłem do domu, nie mówiąc nic rodzicom i poszedłem pod prysznic. Miałem wrażenie pustki w głowie, jakiś „mechanizm” w moim mózgu wyłączył się. Tłumaczyłem sobie, że to wszystko było być może normalne.

Powiedzieć o tym, ale komu? Gdzie? Jak? Jak ubrać w słowa to, co się właśnie stało? A poza tym, kto mi uwierzy?

To powtarzało się podczas obozów, a również soboty na zbiórkach, gdy wzywał mnie mówiąc, że muszę mu pomóc w sprzątaniu kartonów i materiałów. Wchodziliśmy do salek na górze kościoła Saint Luc. Było tam laboratorium fotograficzne, salka ze strobami i inne salki, prawdziwy labirynt. Nazwałem tę jego kryjówkę „gołębnikiem”.

Kilkukrotnie prosił mnie, żebym w środowe popołudnia przyszedł na plebanię naprzeciw kościoła, w celu przygotowania sobotniej zbiórki. Wchodziliśmy po schodach, jego biuro znajdowało się po lewej i było połączone z jego pokojem. Czasem, w pomieszczeniu na dole, byli inni księża: ksiądz Plaquet, ksiądz Martin, ksiądz Alberti (dziś pewni wszyscy już nie żyją) i rozmawiali między sobą. Czy czegoś się domyślali? Wiele razy, w ostatnim momencie, decydowałem, by do niego nie iść i wówczas w sobotę pytał mnie: „Czekałem na ciebie, dlaczego nie przyszedłeś?”, a ja wymyślałem naprędce jakieś kłamstwo.

Zawsze odmawiałem zostania ministrantem, bo nie miałem ochoty, by złapał mnie po mszy w zakrystii. Służyłem do mszy bardzo rzadko, naprawdę tylko podczas większych uroczystości, ale dbałem o to, by zawsze w pobliżu było kilka osób.

Byłem wówczas młodym nastolatkiem i zastanawiałem się, jak on mógł odprawiać msze o osiemnastej po naszych zbiórkach, bez mrugnięcia okiem, głosić dobrą nowinę, bez żadnego skrępowania udzielać komunii i nadal nie mieć żadnych wyrzutów sumienia? Zastanawiałem się, w jakiej mierze te sakramenty były prawomocne!

Ksiądz Bernard był otoczony dorosłymi, którzy zajmowali się zarządzaniem.

Patrząc z perspektywy, zastanawiam się, w jaki sposób ci dorośli niczego nie zauważyli!

Dzięki temu, że wyjechałem do internatu na wiele lat, udało mi się uwolnić spod jego wpływu. A później pewnego dnia go po prostu „spławiłem”.

Opuściłem Grupę Saint Luc około roku 1983 i nie chodziłem praktycznie w ogóle na msze do kościoła Saint Luc, bo unikałem Preynata. Chodziłem do kościoła Fourvière na pierwszą mszę o szóstej trzydzieści, bo była szybka (pół godziny). Im msza była krótsza, tym mniej wyobrażałem go sobie naprzeciw mnie, na miejscu księdza odprawiającego mszę. Trzeba przyznać, że mimo iż próbowałem o nim zapomnieć, to „mechanizm” w moim mózgu nadal włączał się, ale ja go czym prędzej wyłączałem. Uczynił mi naprawdę dużo złego, a najtrudniejsze było zachowanie wszystkiego dla siebie.

Później, w latach dziewięćdziesiątych, dowiaduję się, że został przeniesiony do Neulise, jakiejś dziury. Mówi się, że miał problemy (w głębi myślę sobie „dobrze tak temu dziadowi”). Tworzy się komitet wsparcia dla niego, mnóstwo osób go wspiera, ja nic nie mówię, bo kto by uwierzył? Byłem sam, naprawdę sam! I tak bardzo się wstydziłem.

Powiedziano by mi: „Jesteś kłamczuchem! Ksiądz Bernard nie kłamie!”.

Z dzisiejszej perspektywy, postrzegam GSL trochę jak sektę prowadzoną przez guru, któremu wszyscy byli posłuszni.

Dziś wszystkie „mechanizmy” w moim mózgu uruchomiły się, opowiedziałem wszystko żonie, która mnie wysłuchała, była wspaniała. Opowiadanie o tym wymagało ode mnie dużej odwagi.

Niech ci, którzy mi nie wierzą, zapytają jego. Nie chcę go obciążać, ale, jako że mam dziś pięćdziesiąt lat i jestem ojcem rodziny, być może mnie to wyzwoli.

Dziękuję François, Bertrandowi i wszystkim innym za odwagę zaatakowania tego szczytu. Prawda musi zostać ujawniona.

8. Didier, 44 lata.

„Zanim mnie puści, powie mi jeszcze, że jestem jego małym chłopczykiem, i że ma to zostać między nami - to nasza mała tajemnica!”

Wreszcie skończyłem siedem lat! Wiek używania rozumu, ale przede wszystkim mogę wreszcie dołączyć do moich braci i sióstr skautów! I to w dodatku nie do byle jakiej drużyny, ale do Grupy Saint Luc w Sainte-Foy-lès-Lyon.

We wrześniu dołączam więc do „Zuchów”, jest nas około dwudziestu nowych pośród „Starszaków”. Ale na szczęście ksiądz Bernard jest zawsze przy nas - zawsze gotów, by pocieszyć, bierze nas na kolana, by dodać nam otuchy. To jest super uczucie, mam nawet wrażenie, że jestem jednym z jego pupilków! Często prosi mnie, bym wszedł z nim do salki, która służy mu za biuro, znajdującej się u szczytu trochę stromych schodów z surowego betonu.

Bierze mnie w ramiona i przyciska do siebie, mówi mi, że mnie kocha, ale przede wszystkim pyta, czy ja też go Kocham! Jeszcze

mocniej mnie ściska, wkłada mi dłoń pod koszulę, czuję jego palce przemieszczające się po moich plecach. Usiłuję się wyswobodzić, ale trzyma mnie, stawia nogę za mną i w końcu mnie całuje. Zanim mnie puści, powie mi jeszcze, że jestem jego małym chłopczykiem, i że ma to zostać między nami - to nasza mała tajemnica!

Jestem już trochę starszy. Jestem teraz w „Młodzikach” i nie mam już wątpliwości - jestem jego pupilem. Składam przysięgę, dostaję różne odznaki, dobrego obozowicza, dobrego kuchcika, ale przede wszystkim odznakę służącego do mszy. Daje mi ona przywilej siadania na przednim siedzeniu Citroëna 2CV należącego do księdza, a później do Citroëna Visa GT (super samochód, prawie jak wyścigowy), by móc dojechać na miejsce przed resztą grupy i mieć czas, aby przygotować msze polowe na obozach i biwakach. Jest to jednak tylko wymówka - daje mu to po prostu czas, by mnie przygnieść swoim grubym brzuchem i przycisnąć się do mnie jeszcze bardziej. Pamiętam nadal jego zapach i oddech, który przyspieszał. Jego ruchy, gdy się o mnie ocierał. Mogłem nawet poczuć jego członek przez spodnie. Często też sadza mnie na kolanach i wtedy jego „błądzące” dłonie przesuwają się w górę po moich udach i wślizgują się pod szorty. Jestem bardzo skrępowany. Źle się czuję, gdy jestem przyciśnięty do tego człowieka. Ale to jest ksiądz Bernard - nasz wielki wódz i skoro tak robi, to myślę sobie, że jest to normalne, że ma do tego prawo. Nie ruszam się! Po raz enty mówi mi, że mnie kocha, pyta, czy też go Kocham i nakazuje, żebym absolutnie nic nikomu nie mówił, że jestem jego małym chłopczykiem, i że mam zachować tajemnicę. Nie chcę już być skautem! Próbuję mówić o tym matce, ale nie rozumie! Muszę więc kontynuować...

Mam teraz jedenaście lat. Idę do szóstej klasy w szkole La Favorite, w piątej dzielnicy Lyonu. Ale on podąża za mną! Jest kapelanem szkoły. Nie tylko spotykam go u skautów w prawie wszystkie weekendy i przez część wakacji, ale teraz muszę jeszcze

spowiadać się przed tym człowiekiem, muszę wyznawać mu moje grzechy małego chłopca! Nie mam wyboru...

Pamiętam też liczne wieczory, gdy Preynat zasiadał z nami przy naszym rodzinnym stole. I bardzo często, pod koniec wieczoru, mój ojciec dawał mu czek, mówiąc: „Proszę go przyjąć, ojczy, w podziękę za wszystko, co ojciec robi dla naszych dzieci!”. Brał je z uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Och, tak... Proszę się nie martwić, bardzo dobrze się zajmuję państwa synem!”.

Wszystko się skończyło, gdy miałem trzynaście lat - wówczas mu się sprzeciwiłem! Przestałem do niego przychodzić, gdy mnie wzywał. Unikałem go!

7. David, 41 lat.

„Ręka błędząca pod szortami to eufemizm”

Po długich przemyśleniach, wielu wahaniach i zapytaniach... poświęcam wreszcie trochę czasu, by napisać te kilka zdań...

Wszystko zaczęło się (czy też *znów* zaczęło) w grudniu... telefon i wiadomość głosowa na sekretarce od niejakiego François! W tamtej chwili, w związku z bardzo dużym obciążeniem pracą, nie chciałem zatopić się we wspomnieniach, bo nie miałem czasu - ani materialnie, ani intelektualnie... Musiało minąć wiele dni, zanim odpowiedziałem mu, tłumacząc moje milczenie.

Od tego czasu regularnie śledzę rozwój sprawy poprzez stronę internetową i różne media, przez telewizję, która opowiada mi o rzeczach, które znam aż za dobrze.

Ale o jakich wspomnieniach mówimy?

W latach osiemdziesiątych aż do początku lat dziewięćdziesiątych należałem do grupy Saint Luc oraz do drużyny skautów, uczestniczyłem też w lekcjach religii w kościele i jeszcze byłem ministrantem... pełen serwis! Co mi z tego zostało... mimo wszystko pozytywne odczucia, dzięki podróżom, odkrywaniu regionów (Owernii, Normandii), krajów (Belgii, Portugalii,

Irlandii, Włoch). Być może trzymam się tych odczuć kurczowo, by nie uczynić rzeczywistości jeszcze gorszą niż jest!

I pamiętam oczywiście rzeczy mniej zabawne. Moje wspomnienia są jednak odległe i gdy czytam inne świadectwa, całkowicie odnajduję w nich moje wspomnienia: salę na górze z flagami, stroje, pokój, czy namiot księdza Preynata... Ręka więcej niż błądząca pod szortami to eufemizm, przyciskanie mnie, branie mojej dłoni, by go pieściła... I cisza... bycie ulubieńcem, wspólna tajemnica... patrząc z perspektywy w dorosłym wieku, był to prawdziwy syndrom sztokholmski.

Pewność, że było się ofiarą, ale szczerze mówiąc, moje wspomnienia są mniej precyzyjne niż te moich towarzyszy niedoli (lecz być może jest to obrona... choć, mimo że myślę o tym od wielu tygodni, wspomnienia nie stają się bardziej wyraźne...). Ta rzeczywistość nadal jest obecna - nie ma roku, miesiąca, tygodnia, bym o tym nie myślał, wraz z napływem wiadomości, z upływem życia... ale nic nie mówię...

Więc napisać świadectwo... ale czego i po co?

W moim przypadku, są to fakty przedawnione, mam czterdzieści jeden lat... Nie zmieni to toku sprawy, ani jej wyniku... Czy narzucanie sobie tej udręki jest konieczne? Nie jestem tego pewien. Wymaga to wysiłku, do którego nie mam ochoty mobilizować się, jako że mam inne problemy osobiste do rozwiązania. Dlatego też podziwiam tych, którzy zaangażowali się w ujawnienie prawdy, bo wiem, jakiej siły Wam do tego potrzeba! Dziś moi rodzice wiedzą o wszystkim z mediów i, w odpowiedzi na ich pytania, przyznałem, że byłem jedną z ofiar.

Oczywiście tym, którzy sądzą, że nie ma to wpływu, chcę odpowiedzieć, że w moim mniemaniu ma to bezpośrednio oddziaływanie na naszą dzisiejszą osobowość. Jestem z natury wycofany, nie zwierzam się łatwo i dopatruję się tego przyczyn w tamtych latach. W dodatku w tamtych latach wkroczyłem na ścieżkę kapłaństwa, będąc rezydentem w innej instytucji religijnej (gdzie nie doświadczyłem żadnego niewłaściwego gestu)... był to

może sposób na pośrednie zdystansowanie się... Na szczęście spotkałem na mej drodze nieskazitelnych moralnie duchownych i mimo że dziś nie jestem praktykującym katolikiem, zostaję przywiązany do religii jako do przestrzeni rozmowy i debaty... Skończę następującą metaforą: oto otworzyła się strona książki, która zawsze leżała na stoliku koło łóżka, i która znajdzie teraz swoje miejsce w biblioteczkę, ale nigdy nie zniknie.

6. Pierre, 44 lata.

„Sprawiedliwości ludzkiej musi stać się zadość. A co do sprawiedliwości boskiej, jeśli istnieje, mam nadzieję, że również stanie się jej zadość....”

Przede wszystkim, główną osobę w naszych świadectwach wolę nazywać „Ojcem Bernardem”, gdyż uważam, że oddaje to charakter bliskości, który definiował relacje, które mieliśmy z nim.

Relację zaufania i również autorytetu, która istniała między nim a nami, opromienioną - czy wzmożoną - przez konotację religijną.

I myślę, że wzmacnia to haniebnym aspektem jego zachowania.

Chcę przez to powiedzieć, że nadużycie słabości przez bliską osobę jest w moim mniemaniu jeszcze gorsze niż takie nadużycie popełnione przez kompletnie obcą osobę.

Dla nas to nie był pan Preynat, wychowawca czy jakiś tam dyrektor szkoły, ale Ojciec Bernard.

Niebawem skończę czterdzieści pięć lat.

Jestem żonaty, mam troje dzieci w wieku dziewiętnastu, szesnastu i trzynastu lat. I to Ojciec Bernard udzielił mi ślubu oraz chrztu dwojgu moich pierwszych dzieci (kolejno w 1995 roku, 1996 i 2000).

Nie jestem odosobnionym przypadkiem, jak sądzę.

A to jest dodatkowa „okoliczność obciążająca” do tego, co wspomniałem wcześniej na temat naszej relacji z Ojcem Bernardem.

Wstąpiłem do drużyny we wrześniu 1981 roku, by dołączyć do mojego przyjaciela Jérôme'a S., z którym później straciłem kontakt na samym początku lat 90.

Od razu wstąpiłem do „Zuchów” (szóstka zuchowa Szarych) i zostałem tam ledwie rok, zanim dołączyłem do „Juniorów” w następnym roku (zastęp „Tygrysów”, wydaje mi się, ale jeśli tak, to na bardzo krótko), a później do „Kozic”, a następnie do „Bobrów”, najpierw jako podzastępowy, a później jako zastępowy).

Moja pamięć jest trochę zatarta, ale wydaje mi się, że opuściłem drużynę po obozie letnim w Portugalii (1986 rok) i wróciłem jako „Senior” dopiero kilka miesięcy później, w roku obozu w Owernii (zastęp „Raidersów”, w którym spotkałem się z dawnymi kolegami, między innymi Olivierem D., Laurentem D. i poznałem Fabrice'a F.).

Opuściłem definitywnie drużynę w czerwcu 1989 roku i nie wyjechałem na obóz w Normandii.

Co się tyczy postawy Ojca Bernarda, to przypominam sobie jeden tylko jego „niestosowny gest” wobec mnie, o którym wówczas nie wspomniałem, i który wydał mi się niestosowny dużo później, gdy ujawniły się pierwsze, wedle mojej wiedzy, podejrzenia dotyczące jego osoby.

Z tego, co pamiętam, wydaje mi się, że było to w autokarze, którym jechaliśmy do miejsca, z którego mieliśmy wypłynąć na obóz na Korsyce (1982 rok), było to więc podczas mojego pierwszego roku w Grupie Saint-Louis.

Dziś myślę, że miałem zapewne dużo szczęścia, bo nigdy więcej się to nie powtórzyło.

Myślę, że to dlatego, iż zostałem w Zuchach tylko rok. Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to myślę również, że od tamtego momentu zawsze dbałem o to, by w autokarze siedział koło mnie jakiś kolega...

Ojciec usiadł koło mnie. Był wieczór. Było ciemno. Zapewne zapytał mnie, czy wszystko w porządku, czy dobrze się czuję w

drużynie, coś w tym stylu. Był to wszak mój pierwszy „duży obóz” letni. Mówiąc to, położył mi dłoń na ramieniu i wślizgnął ją pod kołnierz mojej koszuli. A później położył ją na moim udzie.

I to było „wszystko”.

Gdy opowiadałem o tym po raz pierwszy, byłem przekonany (czy też przekonywałem sam siebie), że było to coś mieszczącego się w granicach normy - kontakt, który rodzic mógłby mieć z jednym ze swoich dzieci. Kontakt osoby dorosłej niemającej własnych dzieci, odczuwającej więc brak czułości.

Miałem dziesięć lat.

Był to 1982 rok i dużo mniej wiedzieliśmy o tego typu zboczeniach.

Jestem pewien, że inni doświadczali tego samego, w podobnych warunkach, podczas przejazdów autokarem.

Być może to dlatego te gesty nie wydały mi się „niestosowne”. Można zadać sobie pytanie, czy nie było to zachowanie z góry obmyślane przez Ojca Bernarda (jeżdżenie autokarem, siadanie obok nowych, najmłodszych, by im dodać otuchy oraz przede wszystkim dawanie do zrozumienia, że było to normalne... nie było w tym nic złego, prawda?).

I oczywiście między tymi trochę głupimi i niezdarnymi, pryszczatymi chłopakami dało się słyszeć podteksty typu „powinniśmy być grzeczni, bo inaczej skończymy w namiocie Ojca!”.

Ale na pewno nie myśleliśmy, że „to” mogłoby się przydarzyć!

I że jeśli Ojciec dzielił czasem swój namiot z jakimś skautem, to dlatego, że ten za bardzo rozrabiał i kropka.

Tak przynajmniej myśleliśmy (ja tak myślałem w każdym razie).

Tak gadaliśmy, ale kto widział jakiegoś skauta wchodzącego do namiotu Ojca? Albo wychodzącego?

W zeszłym tygodniu przypomniałem sobie o pewnym wyjeździe rekolekcyjnym, na który wyjechali podzastępowi i zastępowi w towarzystwie Ojca.

Spaliśmy w dużym domu, dzieliliśmy dużą, wspólną sypialnię. Tylko Ksiądz miał własny pokój. Ten pokój dzielił właśnie z jednym ze skautów, który był trochę większym „rozrabiaką” niż inni.

Nie pamiętam już ani jego imienia, ani twarzy.

Czy coś tam się stało?

Jeśli tak, to co?

Musiałem mieć czternaście albo piętnaście lat.

Nie wyobrażałem sobie, co się kryło za tym wszystkim.

A później pojechałem kontynuować naukę do Marsylii. Moja rodzina została w Lyonie.

Na odległość utrzymywałem kontakt z Ojcem i pamiętam, że kilkoro z nas chciało stworzyć organizację charytatywną!

Potrzebowaliśmy kapelana...

Miał nim zostać Ojciec Bernard.

Nic z tego jednak nie wyszło...

Gdy żeniłem się, nie mogłem wyobrazić sobie, by inny ksiądz udzielał mi ślubu.

Wydaje mi się, że Fabrice to samo zrobił przede mną.

Poza tym, jako że ślub miał się odbyć w Lyonie, najprościej było zwrócić się do Księdza Bernarda.

W tamtym czasie powołany był do parafii w Neulise...

Tak samo rozumowałem w sprawie chrztu moich pierwszych dzieci. Pierwszemu Ojciec Bernard udzielił chrztu w Neulise, drugiemu w Cours-La-Ville.

Nie udzielił zaś chrztu mojemu trzeciemu dziecku (komplikacje organizacyjne oraz, jak sądzę, pierwsze poważne podejrzenia - było to w 2002 lub 2003 roku).

Przypominam sobie (ale w jakich datach?), gdy, wśród byłych skautów, przytaczaliśmy bardziej lub mniej podejrzanego zachowania Ojca, opowiedziane przez niektórych z nas.

Pamiętam, że chcieliśmy wysłać mu bardzo dosadny list.

Lecz nigdy się to nie skonkretyzowało...

Pamiętam te rozmowy, podczas których kwestionowaliśmy postawę rodziców, którzy o wszystkim wiedzieli, ale nie zdobyli się na kroki prawne...

I tych, którzy wypierali to ze świadomości.

Łatwo jest oceniać, ale ostatecznie, co *my* zrobiliśmy?

Zapewne naiwnie wierzyliśmy, że to wszystko było już za nami.

A jednocześnie nie tak daleko...

Zepchnięte w zakamarki podświadomości, jak by się powiedziało (i co myśleć o tym projekcie napisania scenariusza o księżach pedofilach?).

A później był ten listopadowy wieczór, gdy przez całkowity przypadek usłyszałem informację w wiadomościach na kanale M6.

Ten wieczór, gdy moim oczom ukazała się twarz François.

Gdy pokazano list Ojca Bernarda, w którym przyznawał się do wszystkiego, bez poniesienia żadnych konsekwencji!

Ten list, w którym rozpoznałem jego charakter pisma...

A później telefon od Fabrice'a...

Znacie dalszy ciąg.

Sprawiedliwości ludzkiej musi stać się zadość.

A co do sprawiedliwości boskiej, jeśli istnieje, mam nadzieję, że również stanie się jej zadość.

Los może prowadzić nas dziwnymi ścieżkami, ale zawsze na koniec nas dopada.

Dziś widzę, jak wszystkie te siły łączą się.

Czytam ponownie wszystkie nazwiska skautów i skautek, z którymi dzieliłem raczej dobre chwile.

I powracają wspomnienia.

Przenoszą mnie do bez troskich lat.

Zapewne zbyt bez troskich.

Lata szczerego koleżeństwa i śmiechu wracają dziś w mej pamięci z pewnym zgrzytem.

I myślę sobie, że nadszedł czas, by działać.

5. Axel, 40 lat.

„Ręka schodzi coraz niżej, aż do części intymnych...”

W moim przypadku, zdarzyło się to dwa razy. Pierwszy raz miał miejsce podczas obozu w Zielone Świątki w maju 1986. Miałem wówczas jedenaście lat. Rok mojego pierwszego obozu w Portugalii, mój drugi rok jako skauta. Niedawno dostałem mały aparat fotograficzny i robię zdjęcia podczas obozu.

Są namioty dla nas (trzymasztowe z podwójnym dachem, bardzo ciężkie), namiot zaopatrzeniowy (brązowy, okrągły) i niebieskie namioty wojskowe zwane „marabutami”. Myślę, że pod tymi marabutami (bardzo dużymi prostokątnymi namiotami) chowaliśmy się podczas ulew i tam też być może organizowaliśmy msze.

Wszystkie te namioty były rozmieszczone w porządku ściśle określonym (zapewne przez księdza Bernarda).

Pewnego dnia przechodzę dość blisko „marabutów” i słyszę, że ksiądz Bernard (stojący pomiędzy dwoma namiotami) woła do mnie: „Axel! Chodź do mnie!”. Posłusznie kieruję się w jego stronę.

Był to z pewnością człowiek z autorytetem. Nie chciało się mu sprzeciwiać... Gdy wrzeszczał na nas albo nazywał nas „Bandarlogami” (małpami otaczającymi króla Louiego w „Księżce Dżungli”), nie byliśmy już tacy odważni.

Dochodzę więc do niego, a on wyciąga do mnie ramiona.

Podchodzę bliżej, szybko mnie otacza ramionami i zaczyna mnie przyciskać do brzucha...

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak, tak - odpowiadam.

Ścisła mnie jeszcze mocniej.

- Jesteś pewien? Wszystko dobrze?

- Tak, tak - odpowiadam grzecznie, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego stoimy tu we dwóch, schowani za „marabutem”, z dala od wszystkich.

- Obóz ci się podoba? - ciągnie dalej.
- Tak, tak, dobrze się bawię - odpowiedziałem jeszcze jeden raz, ale z lekkim zakłopotaniem.

Ściska mnie jeszcze bardziej. Z trudem oddycham. Mój nos jest przyciśnięty do jego brzucha. Moje nozdrza zagłębiają się w oczka jego granatowego swetra... Uścisk trwa długo... Próbując wziąć oddech i trochę oderwać się od niego, mówię coś... Jako że nie rozumie, jego ramiona trochę odpuszczają...

- Mówiłem, że u mnie wszystko w porządku, ale że nie mogę oddychać - rzucam żartobliwie, by go nie urazić.
- Dobrze, a czy mnie kochasz? - pyta (ja wciąż jestem uwięziony w jego ramionach).
- No tak... - odpowiadam.

Dla mnie ksiądz Bernard był kimś, kogo WSZYSCY kochali. Byłem zadowolony, że mnie osobiście wybrał w ten sposób, ale zaczynałem czuć się dziwnie. Co jednak mogłem zrobić? Byłem dosłownie unieruchomiony w jego ramionach... W tym momencie pochylił się nade mną i po raz pierwszy pocałował mnie w policzek...

- Jesteś pewien, że mnie kochasz? - zapytał, całując mnie coraz bliżej ust...
- Tak, tak... - odpowiedziałem grzecznie jeszcze raz, choć byłem bardzo skrępowany... W tym momencie czas zaczął mi się dłużyć, a sytuacja wydała mi się bardzo dziwna, ale cały czas byłem zablokowany i nadal nie było na horyzoncie nikogo, kto by mnie wybawił...
- Dobrze... To pocałuj mnie!

Nie ruszam się nawet o centymetr. Jestem jak sparaliżowany. Ale przecież znam księdza Bernarda... Powtarzam sobie w duchu, że jest dobrym człowiekiem, i że nie powinienem się niczego obawiać z jego strony... I wtedy jego usta napotykają moje... Składa przeciągły pocałunek... Staram się go usprawiedliwić - jest duży, a ja jestem mały, pewnie nie zauważył, gdzie mnie całuje, może

brzuch mu przeszkadza? Bo przecież musi być jakieś wyjaśnienie... Później mnie puszcza...

Nie pamiętam już, czy powiedział mi coś w stylu: „to będzie nasza tajemnica, prawda?”.

Biegnę z powrotem do kolegów. Szybko zapominam. Nie opowiadam o tym. Nawet nie jestem dumny z bycia „wybrany” przez księdza Bernarda, i że „być może” zostanę jednym z jego ulubieńców. Ostatecznie wcale mi się nie spodobało to, co się stało. I to dlatego tak dobrze o tym pamiętam dwadzieścia dziewięć lat później. Ale ożywienie w obozie z powrotem mnie wciąga. Trzeba przygotować ognisko, menażki, a zaraz się zaczyna gra terenowa...

I życie toczy się dalej...

Co do drugiego razu, moje wspomnienia na temat obozu są dość mgliste. Wiem, że byłem zastępowym. To musiało być rok później, podczas tygodniowego obozu. Zapewne na Wszystkich Świętych lub w Zielone Świątki. Śpimy w dużym budynku. Każdy zastęp ma jedną sypialnię. Wieczorem wszyscy kładą się spać.

Cały mój zastęp jest już w łóżkach. Trochę między sobą rozmawiamy. Moje łóżko jest najbliżej drzwi. Drzwi te otwierają się dyskretnie niebawem po wyłączeniu światła. Czuję i słyszę księdza Bernarda, który wchodzi do mojego łóżka. Były to polowe łóżka, spaliśmy w śpiworach. Ksiądz Bernard kładzie się koło mnie. Wydaje mi się, że mówi do mnie bardzo cicho. W każdym razie nic nie mówię. Trochę się boję. Przez moje dobre wychowanie nie mówię nic, bo trzeba szanować dorosłych.

Przekłete wychowanie!!! Koledzy nadal rozmawiają i śmieją się. Tymczasem ręka księdza wślizguje się pod śpiwór. Czuję ją na moim brzuchu. I znowu pytania typu: „Czy mnie kochasz?” i całe to gadanie. Ręka schodzi niżej, aż do części intymnych.

Uszczypnięcie w penisa i gwałtownie się od niego odwracam, bo to było straszne. A koledzy nadal się śmieją i opowiadają historie, i nawet trochę niemiło obgadują księdza Bernarda. On, nagle zdenerwowany, mówi głośno:

- Skończycie z tym hałasem?

Właśnie się „wsypał”. Mój zastęp już wie, że on tu jest. Są jednak bardzo zaskoczeni, bo nie słyszeli, jak wchodził. Ale wyświadczyli mi przysługę. Ksiądz wychodzi...

Nie potrafię pojąć, co przed chwilą się stało. Nie mówię o tym. I nie pamiętam już, od kiedy zacząłem o tym mówić. Być może na ślubie jednego z moich najlepszych kolegów w 2000 roku. Mój stary druh ze skautów. I kto mu udziela ślubu? Ksiądz Bernard...

Od razu powiedziałem jego matce, co mi się przydarzyło (wiedziałem, że zrobił to samo jego młodszemu bratu, który był w moim wieku). Ale mi nie uwierzyła... W tamtym momencie od prawie dziesięciu lat nie widziałem księdza Bernarda. Ślub jednak się odbywa. Robię zdjęcia na ślubie.

Jestem zajęty i nigdy więcej nie słyszę o księdzu. Ale kiedy, w 2013 roku, spotykam byłego kolegę ze skautów, mówię mu o tym, co mi się przydarzyło. Patrzy na mnie i opowiada mi dokładnie to samo o sobie... I oto jesteśmy coraz liczniejsi, ci którzy doświadczyli tych odrażających przeżyć.

4. Jérôme, 40 lat.

„Przypominam sobie bardzo dobrze te niestosowne pieszczoty...”

Świadek Pierre'a jest budujące i dobrze ukazuje wieloznaczność relacji, które wszyscy mieliśmy z „księdzem Bernardem”. Ja przypominam sobie bardzo dobrze te niestosowne pieszczoty (gdy przyciskał moją głowę do swego grubego brzucha, przytrzymując mi szyję ręką i pytając mnie za każdym razem, czy go kocham, czy kocham go mocno, i czy jestem szczęśliwy, że tutaj jestem, że jestem w grupie skautów Saint Luc), które myliłem z przesadzonym paternalizmem z jego strony. Pamiętam również pewne zdarzenie z obozu w Niemczech - dopiero co skończyłem siedem lat - kiedy to padłem ofiarą obmacywania (ręka w majtkach...). Pamiętam dobrze, że nie miałem wówczas śmiałości mówić o tym, nie potrafiłem

zinterpretować tego, co się stało. A później wszystko się zatarło, pomieszało i przestałem mówić o tym wszystkim aż do dnia, w którym odkryłem, że przydarzyło się to też wielu innym. Członkowie drużyny byli z pewnością ofiarami dużo poważniejszych rzeczy, pragnę więc dziś dołączyć się do tej akcji, żeby owe wypaczenia definitywnie się skończyły.

3. Bertrand, 44 lata.

„Obejmował mnie i prosił, bym też go objął, ujmował moje ręce i zakładał je za swoje plecy...”

Gdy miałem dziewięć-dziesięć lat, w 1980 roku, często (pięć-dziesięć razy) byłem „wzywany” (nie pamiętam przez kogo) w sobotnie popołudnia do skautów, by dołączyć do księdza Bernarda Preynata w salce znajdującej się w podziemiach kościoła Saint-Luc, podczas gdy moi koledzy bawili się dookoła owej salki. Ksiądz mnie obejmował i prosił, bym też go objął, ujmował moje ręce i zakładał je za swoje plecy (przypominam sobie kontakt z dotyk jego paska od spodni) i, charcząc, mocno mnie ścisnął. Byłem przyciśnięty do jego torsu, gładził moje włosy, wyjmował moją niebieską koszulę ze spodenek, ale nie dochodziło do niczego więcej, a następnie dawał mi do zrozumienia, że jest to nasza tajemnica. Pamiętam jego spojrzenie, zapachy, dźwięki, atmosferę miejsca i przede wszystkim poziom zażenowania i skrępowania, których przysparzała mi ta sytuacja, o której wiedziałem, że jest niezdrowa i niestosowna. Opowiedziałem o tym matce i ona z nim o tym porozmawiała u nas w domu, ponoć przeprosił, a jego bezpośredni zwierzchnik w parafii miał być o tym poinformowany. Mimo to, musiałem nadal służyć do mszy jako ministrant i spędziłem jeszcze dwa lata u skautów, ale od tego czasu zupełnie mi odpuścił, można powiedzieć, że mnie ignorował, jednakże starałem się nigdy więcej nie zostać z nim sam na sam.

Zawsze próbowano mi wmówić, że Ksiądz w końcu został w sposób ostateczny oddalony od dzieci (tak twierdził między innymi jego zwierzchnik, który udzielił mi ślubu w 1997 roku w kościele Saint Luc...).

W tamtym czasie zwierzyłem się koledze, P., który również miał wówczas dziewięć-dziesięć lat. Kiedy zobaczyłem go, gdy wychodzi sam z tej samej salki, rzucił mi coś w stylu: „Ja mam tak samo, tylko jeszcze gorzej”. Faktycznie wtedy myślałem, że jesteśmy jedynymi dwoma chłopcami, których to dotyczy, i że będę musiał wbrew woli zakopać te wypadki najgłębiej jak się da, by jakoś dorosnąć, w zaburzeniu pojęć dobra i zła, które zostały zakwestionowane, w zaburzeniu zaufania wobec dorosłych, i zastanawiając się, dlaczego padło na mnie, a nie na kogoś innego (itd.) oraz w przekonaniu, że ten zły człowiek, perwersyjny i narcystyczny, potrafił zawładnąć całą wspólnotą parafii i sprawić, że stała mu się oddana i go podziwiała.

2. Alexandre, 41 lat.

„W sobotnie popołudnia w parafii, prowadził mnie często do ciemnej, spokojnej salki fotograficznej...”

Wydaje mi się, że to było w 1984 roku lub może trochę wcześniej, czy trochę później. Mam dziesięć lat, jestem podzastępowym w Roux 2. Od dwóch lat jestem w grupie Saint Luc. Jestem w tej parafii od urodzenia. Chrzest, pierwsza komunia, bierzmowanie... Niebawem wyjeżdżamy ze skautami z grupy Saint Luc na obóz do Portugalii. Obóz, który zorganizował dla nas, jak co roku, ksiądz Preynat. W programie przewidziane są wycieczki, turnieje sportowe, pielgrzymka do Fatimy, msze, otrzymanie odznaki „dobrego obozowicza” dla niektórych lub „dobrego kuchcika” dla innych. Jesteśmy na kempingu nad brzegiem Atlantyku. Jakież szczęście mieć za drużynowego księdza Bernarda! A w dodatku

jestem jednym z jego ulubieńców. Tak, cóż za szczęście! Mam wszystkie odznaki, jestem zdyscyplinowany.

W sobotnie popołudnia w parafii prowadzi mnie często do ciemnej, spokojnej salki fotograficznej. Wiecie, na górze w prawo, patrząc od placu Saint Luc. U szczytu schodów. Zamyka drzwi. Bierze mnie w ramiona. Wkłada rękę do moich granatowych spodenek, nie ruszam się. Ścisza mnie mocno, bardzo mocno. Całuje mnie w szyję, ociera się o moją nogę. Nadal słyszę jego oddech i uspokajające słowa. Mówi mi, że mnie kocha. Oddycha głośno, jeszcze głośniej, a później już nic. Wiem, że to się skończy. Trwa to... trochę czasu, kilka minut. Mówi mi, że to nasza tajemnica. Cały czas życzliwym tonem. Wychodząc, dołączam do innych. Mam dziwne uczucie dumy, że zostałem wybrany przez księdza Bernarda. On robi tyle rzeczy i każdy go podziwia, jest więc godny podziwu. Moi rodzice, znajomi moich rodziców - wszyscy mówią o nim z wielkim szacunkiem. Nie wiem, ile ma lat, ale wiem, że jest stary. (Mimo że miał wówczas zaledwie czterdzieści lat...) „Jest wyjątkowy. Gdyby wszyscy ludzie Kościoła byli tacy jak on!” Jest kamieniem węgielnym placu Saint Luc. Nie mówię o tym nikomu. Tak czy inaczej, nikt by mi nie uwierzył. Na szczęście nie dzieje się to w każdą sobotę. Ale czekam z niepokojem za każdym razem, gdy w hallu parafii, na ganku, zawoła mnie grubym głosem „Alexandre!”. Mam dziesięć lat. Wielu dorosłych nas otacza, zwłaszcza kobiety. Współwinni...

Nadchodzi letni obóz. Uniknąłem wyjazdu na wcześniejsze obozy, poza obozem w Belgii, gdzie nic się nie wydarzyło.

Siedem dni nad brzegiem oceanu. Siedem dni, podczas których staram się unikać tego człowieka. Cały czas znajduję wymówki, by nie znajdywać się z nim sam na sam, z obawy, że każe mi pójść za nim. Pierwszej nocy owad kąsa mnie w oko. Nie ośmielam się nic powiedzieć, bojąc się, że będę musiał pójść do namiotu pielęgniarskiego i natknąć się na niego. Jestem czujny. Wielokrotnie prosi mnie, żebym z nim gdzieś poszedł, ale zawsze

mam wymówkę. A poza tym bawimy się (gotujemy, śpiewamy, chodzimy na wycieczki, modlimy się, pamiętam nawet, że w czterdziestostopniowym upale przeszedłem drogę krzyżową w Fatimie... Cóż za przygoda ... W skrócie, bawimy się i przeżywamy nadzwyczajne doświadczenia). Jeszcze tylko trzy dni... Gram w turnieju piłki nożnej. Obóz jest pusty i namioty, w których nocujemy, też są puste. Nie pamiętam już dlaczego, ale gdy idę po mój lek (cierpię na chroniczną chorobę) podczas przerwy w meczu, jak sobie przypominam, ksiądz Bernard idzie za mną aż do namiotu. Kładzie mnie na łóżku i układa się koło mnie. Czuję jego ciężar i jego wielki brzuch na mnie. I znowu to samo. Całuje mnie z językiem, rozpina mój rozporek, wkłada rękę. Ociera się, ciężko oddycha. Nie ma tu nikogo poza nami. Jeszcze bardziej napiera. Słyszę kogoś na zewnątrz. Korzystam z okazji. Wychodzę, biegnę aż do boiska. Niebawem wracamy do domu. Po powrocie ogłaszam moim rodzicom, że nigdy więcej nie wrócę do skautów. Nie rozumieją, ale się zgadzają. Nigdy więcej nie uczestniczę w mszy w kościele Sainte-Foy-lès-Lyon. Nie mówię o tym. Kilka lat później, podczas obiadu, moi rodzice informują mnie o plotkach na temat księdza Bernarda (molestowanie dzieci ze szkoły La Favorite). Mam szesnaście lat. Wszystko im wyznaję, że jest to prawda, że jest on dewiantem (wówczas nie mówiło się jeszcze o pedofilii). Brak reakcji. Uważają, że to niewiarygodne. To wszystko... I nie robią nic. Szczyt ironii, ksiądz Bernard jest przeniesiony do miasteczka Neulise w regionie Loary, kilka kilometrów od mojego letniego domu na wsi. Nic się nie dzieje. Wszystko wydaje się „najlepsze na tym najlepszym ze światów”. Ostatecznie, mówienie źle o tym człowieku byłoby atakiem na Kościół. Szczytem perwersji czy obsceniczności jest fakt, że, jak dowiem się później, niektórzy mieszkańcy Neulise zorganizowali przyjazd tego nowego księdza, podając jako pretekst fakt, że został „wyrzucony” z Lyonu, gdyż jakoby miał tam „przyjaciółkę”. No proszę, ksiądz uwodziciel... Kolejny raz odzyskał swoje dziewictwo. Zaczęto pisać nową

historię i ta historia nie była dla dzieci. Dorośli zdecydowali, że będą chronić innego dorosłego w jakiejś źle pojętej lojalności wspólnoty, która już nie kieruje się sumieniem. Widzę jeszcze raz tego człowieka w latach dziewięćdziesiątych, gdy udziela ślubu siostrze mojego przyjaciela. Była drużynową w skautach i darzyła go szczególnym nabożeństwem. I faktycznie jawi się on takim. Matki otaczają go jak muchy. Uwielbiają go... „Te jego piękne homilie i tak dobrze dobrane metafory”. Ostatecznie wszystko zostaje po staremu. A ja mam ochotę mu napluć w twarz. Moi rodzice kolejny raz uważają, że to niewiarygodne... Ale nic nie robią.

Lata mijają. Już wtedy myślałem, że jest stary, i przypuszczałem, że już dawno umarł. Ale w 2014 roku ma zaledwie sześćdziesiąt osiem lat, nadal jest duchownym, stoi na czele dekanatu i zajmuje się dziećmi na lekcjach religii. Nigdy nie niepokojony, zawsze chroniony. Wszystko jest normalne... I wtedy jasność prawdy wychodzi na światło dzienne.

1. François, 36 lat.

„Potem powoli przesunął dłoń w górę po moim udzie. Dotarł bardzo wysoko, aż pod moje bardzo krótkie szorty...”

Tamtego dnia miałem dziesięć lat. Byłem w drużynie skautów Saint Luc już od dwóch lat i uwielbiałem tę grupę, jej energię. Byliśmy jednym plemieniem, jak rodzina. Może i ksiądz Bernard był wrzaskliwy, może i miał ten swój zły, niepokojący dotyk, ale przecież był księdzem. Z definicji więc nie mógł przecież mieć złych intencji.

Tamtego popołudnia byliśmy w salce znajdującej się na tyłach wielkiej sali zbiórek. Zdawaliśmy test na jedną z tych odznak, które później przynosiliśmy z dumą naszym pełnym zachwytem mamom, by przyszyły je nam do swetrów.

Pod koniec tej zbiórki, gdy ksiądz Bernard już nas zwolnił, zwrócił się do mnie z porozumiewawczym uśmiechem, prosząc, żebym chwilę został. Pamiętam moich kolegów, którzy wyszli z salki... Niektórzy z nich mieli uśmiechali się drwiąco, wiedząc co mnie czeka, inni oglądali swoje buty z wyczuwalnym zakłopotaniem, a jeszcze inni wydawali się zazdrośni o tę szczególną uwagę, którą ksiądz mnie obdarzył. Byłem wysokim, chudym blondynem... Idealny profil. Gdy wszyscy już wyszli, zamknął drzwi i powiedział do mnie łagodnie „przybliź się”. Jego dobra wola nie budziła wątpliwości. Następnie przycisnął mnie do siebie. Był to mocny uścisk, tak jak to miał w zwyczaju w takich intymnych chwilach. „Nasz ksiądz Bernard musi być bardzo samotny, skoro tak bardzo potrzebuje tych chwil”, myślałem sobie w mojej niewinnej głowie.

Następnie zdjął mi okulary i beret, odłożył wszystko i zdjął także swoje okulary, żeby lepiej mnie ścisnąć znowu. Pamiętam jego westchnienia, które brzmiały prawie jak charczenie. Pamiętam nawet kolor jego szarej koszuli.

Następnie, lekko się schylając, ujął lewą ręką moją prawą nogę, którą podniósł i przycisnął do swojego biodra. Ręką przytrzymał moje udo w tej pozycji. „O, dziwne! Normalnie tak nie robi...”. Potem powoli przesunął dłoń w górę po moim udzie. Dotarł bardzo wysoko, aż pod moje bardzo krótkie szorty. Musiał wyczuć moje skrępowanie, bo w końcu opuścił moją nogę na podłogę. Następnie ujął moją głowę w dłonie i pocałował w policzek. Przechodząc z jednego policzka w stronę drugiego, pocałował mnie w usta. Nic już nie rozumiałem. „To będzie nasza tajemnica, prawda? Ufam ci!”

Merci à Elżbieta Batys-Kobylińska pour les relectures en polonais.